

Cena 15 000 W prenumeracie 12 000

ONA MIAŁA KILKA KONI

Ona miała kilka koni.

Ona miała konie, które miały ciała z piasku.
Ona miała konie, które miały mapy wykreślone krwią.
Ona miała konie, które miały skóry z wody oceanu.
Ona miała konie, które miały błękit nieba.
Ona miała konie, które miały sierść i zęby.
Ona miała konie, które były z gliny i chciały się rozbić.
Ona miała konie, które były poszarpaną czerwoną skałą.

Ona miała kilka koni.

Ona miała konie z długimi ostrymi pierściami.
Ona miała konie z pełnymi brązowymi udami.
Ona miała konie, które za dużo się śmiały.
Ona miała konie, które rzuciły kamieniami w szklane domy.
Ona miała konie, które lizły ostrza żyłek.

Ona miała kilka koni.

Ona miała konie, które tańczyły w ramionach swych matek.
Ona miała konie, które myślały że są słońcem, a ich
ciała świeciły i płonęły jak gwiazdy.
Ona miała konie, które tańczyły nocą walca przy księżycu.
Ona miała konie, które były zbyt płochliwe i stały spokojne
w boksach swej własnej roboty.

Ona miała kilka koni.

Ona miała konie, które lubiły pieśni tańca Krików.
Ona miała konie, które rzały z bez troski.
Ona miała konie, które pluły na pedałów, które
sprawily, że bali się siebie.
Ona miała konie, które twierdziły, że się nie boją.
Ona miała konie, które kłamały.
Ona miała konie, które mówiły prawdę, których
pozbawiono ich mowy.

Ona miała konie, które padały na kolana przed każdym wybawcą.
Ona miała konie, które sądziły, że uratowała je wysoka cena.
Ona miała konie, które próbowały ją uratować, które wchodziły
nocą do jej łóżka i modląc się gwałcily ją

Ona miała kilka koni.

Ona miała kilka koni, które kochała.
Ona miała kilka koni, które nienawidziła.

To były te same konie.



LATO 1993

NR 2 (22)

"GIVES AWAY" Na podstawie R. Lee White's



Czas biegnie nieubłaganie, lato w pełni, my jak zwykle jesteśmy spóźnieni czyli jakby wszystko w normie. Na tworzenie TAWACINU poświęcamy niestety swój wolny czas, który nie zawsze jest akurat wolny, dlatego bardzo trudno nam przewidzieć (choć robimy co możemy) kiedy ukaże się nowy numer.

Trudno jest nam cokolwiek przewidzieć gdy innym udaje się to nawet niechcący, piszemy o tym w artykule "Prorok mimo woli!". Wielu z was czyta (no i oczywiście ogląda) "Playboya", ale mało kto wie, że jego właściciel Hugh Hefner wyciągnął Russella Meansa z więzienia. Opowiada o tym Marlon Brando, który często występuje w obronie Indian. Ten znany aktor za symbolicznego dolara sprzedał Menominom budynek o 64 pokojach wraz z 90-hektarowym parkiem. Indianom z Kalifornii przekazał 16 hektarów własnej ziemi. "Ta ziemia zawsze należała do was - oświadczył - Zwracam wam dług o 400 lat za późno".

Ten numer TAWACINU w większości poświęcony jest Czarnym Stopom. W polskojęzycznych publikacjach niewiele można o nich znaleźć. Poza nieuchwytnymi już wspomnieniami naszego rodaka Sygurda Wiśniewskiego "W kraju Czarnych Stóp", piękną powieścią Colina Stuarta "Zatrzymać wiatr" i chyba najbardziej znaną (nie tylko młodzieży) książką Arkadego Fiedlera "Mały Bizon" oraz pojedynczymi legendami i wzmiankami w różnych nielicznych antologiach, nie ma nic. Tym bardziej ciekawe wydają nam się artykuły, które dla was publikujemy.

W następnym numerze wrócimy nieco do różnorodności, choć od czasu do czasu pojawiać się będą także monograficzne TAWACINY.

Redaktor naczelny



Ukazuje się w marcu, czerwcu, wrześniu i grudniu

Redaguje zespół:

Wiesław Karnabal (redaktor naczelny)
Marek Maciołek i Marek Novocień
Stale współpracują: Roman Bala, Marek Cichowski, Wiesław Kołeczek, Mirosław Sulgustowski

Adres redakcji: Dąbrowa, ul. Szkolna 9
62-069 Palędzie

Wydawca: TIPI s.c. ul. Łakowa 3, 64-050 Wielichowo

Druk: Zakład Usług Poligraficznych
WI-MARK, Kalisz, ul. Czereśniowa 10

Spis treści:

- o szacunku do starych dróg.....3
- o tym jak u Czarnych Stóp wyglądał dzień powszedni.....6
- opowieść o Chłopcu z Elizną i jego wyprawie do Słońca.....12
- wiersze Jamesa Welcha, poety z plemienia Czarnych Stóp.....18
- dzieje Czarnych Stóp.....20
- w indiańskiej kuchni coś dla wegetarian oraz o tym, co jedzą Czarne Stopy.....31
- jak zrobić indiańskie legginy.....34
- rozmowy z Marlonem Brando.....37
- o misjonarzach i nie tylko, czyli Czarna Suknia raz jeszcze.....41
- czy Indianie przeklinali.....43
- o tragicznej wręcz sytuacji Indian w Brazylii.....44
- 1993 - Rok Tubyłców czyli spór o jedną literkę.....45
- moje spotkanie z Indiańską Babcia...47
- "Ona miała wiele koni" fragmenty wiersza Joy Harjo w tłumaczeniu Marka Maciołka.....52

TAWACIN jest pismem polecanym przez Polskie Stowarzyszenie Przyjaciół Indian skr. poczt. 4, 15-472 Białystok 21

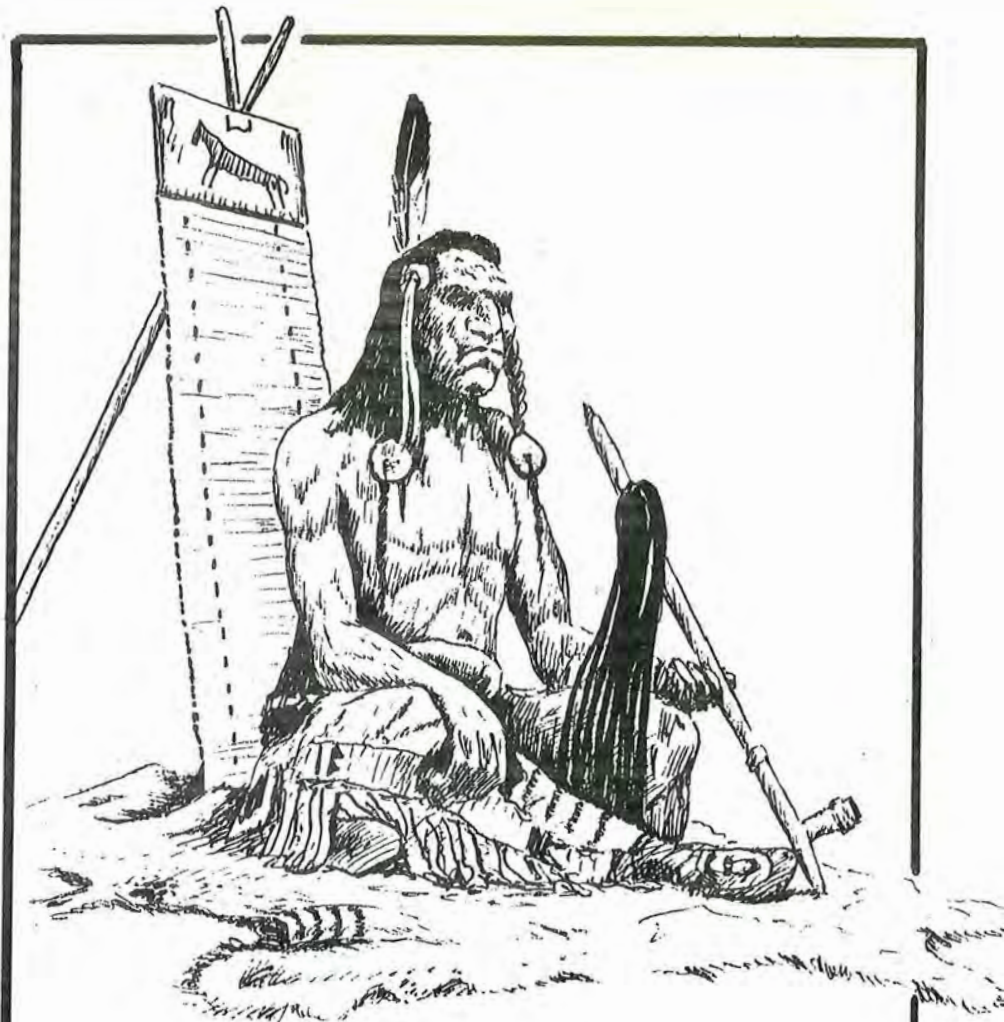
Rozwiązanie zagadki z TAWACINU nr 1 (21)

Prawidłowe rozwiązanie nadesłał jedynie Karol Zawal z Wrześni, który otrzymuje wszystkie trzy nagrody. Kasotę z tradycyjną muzyką indiańską oraz ufundowane przez autora zagadki dwie książki. A oto prawidłowe rozwiązanie:

1. Dwie Strzały, Czarna Stopa, strażnik ognia, skóra łosia, kary; 2. Stoi Na Straży, Arapaho, tropiciel, skóra bizona, kasztan; 3. Przychodzi Pierwszy, Lakota, dobry strzelec, skóra wilka, gniazdy; 4. Białe Oczy, Kiowa, szaman, skóra jelenia, srokacz; 5. Łowca Jeleni, Szejen, wódz, skóra niedźwiedzia, siwek.



Podziękowania za koperty i znaczki, za rysunki, grafiki i artykuły oraz różnego rodzaju materiały przeznaczone do TAWACINU, otrzymują: Tomasz Chodorowski, Marek Cichowski, Olga Czyżewska (PSPi), Aleksandra Kinowska, Rafał Kisielewski, Stanisław Lewandowski, Marzena Marszałek, Jacek Mazurkiewicz oraz Beata Szymik. Dziękujemy również Erwinie Papp za regularne przysyłanie pisma "The Eastern Door".



Przez całe życie kierowałem się wierzeniami naszej Starszyny i radzę młodym, aby też je szanowali. Brałem udział we wszystkich tradycyjnych obrzędach i dlatego mogę opowiadać te historie, aby młodzi ludzie dowiedzieli się czegoś o starych drogach życia. Jeśli w nie wierzycie i w nich szukacie wzajemnej pomocy, będziecie wiedli dobre życie, a szczęście was nie opuści. Wiem, że tak jest, gdyż dzięki temu miałem dobre życie. Przez długi czas pracowałem dla Czerwonych Kurtek, stykałem się z wodzami. Zawsze miałem szczęście w tym, co robiłem i nigdy nie zostałem ranny.

BEN CALF ROBE

BEN CALF ROBE

MOJE ROZWAŻANIA O ŻYCIU

Ten, kto wierzy w stare święte drogi i nie śmieje się z nich, ani z tych, którzy nimi podążają - będzie miał dobre w życiu. Za to tym, którzy je lekceważą będzie w życiu ciężko. Sprawdzono to przed wiekami. Zawsze będzie im się coś nieudawało, a ich dzieci nie zaznają radości. Ich krewni będą cierpieć i nie zaznają szczęścia.

Wielką siłę można zdobyć żyjąc w malowanym tipi - świętym domu. Po raz pierwszy otrzymałem malowany dom, kiedy zacząłem pełnić funkcję wodza. Odtąd zawsze czuję się naprawdę dobrze, gdy przebywam w środku. Czuję się naprawdę szczęśliwy. Dobrze sypiam i budzę się wypoczęty. Gdy patrzę na żonę i dzieci w naszym malowanym domu, widzę że są szczęśliwi i niczym się nie trwożą. Te malunki chronią nas i dają siłę, byśmy mieli dobre życie. Tak było za dni naszych przodków. Wzory i moc są ciągle takie same. Codziennie rano i wieczorem palimy w nich kadzidło - tak nam kazano.

Kiedy nosisz ubranie swych przodków zyskujesz siłę do dobrego życia. Czuję się wysmienicie, gdy noszę swój skórzany strój i pióropuz i widzę, że inni też są tak ubrani. Nie ubieram się po to, żeby wywyższać się nad innych, ale dlatego, żeby po prostu poczuć się szczęśliwym i pobudzić może tych, którzy mnie obserwują. Zachęcam wszystkich młodszych by uczyli się o ubiorze i religii swych przodków, by okazywali szacunek starym drogą życia i aby próbowali podążać nimi, w miarę swych możliwości. Ubierajcie się przy każdej okazji. Starajcie się o święte przedmioty dla siebie i swych rodzin - nawet jeśli coś zostało zgubione i trzeba to odtworzyć. Malunek i błogosławieństwo - to najważniejsze.

Mamy dziś ludzi, którzy tak dużo mówią o byciu Indianinem choć nigdy nie uczestniczyli w żadnym pow wow czy innych obrzędach. Właściwie żyją jak biali ludzie i tylko udają Indian. Są to młodzi ludzie, którzy nie mają szacunku do innych. Nic ich nie obchodzi Starszyzna czy drogi przodków. A jednak ciągle gadają o byciu Indianinem i próbują wma-

wiać innym, co mają robić. Znam dobrze paru z nich - przeważnie pochodzą oni z rodzin, które w ogóle się nie udzielają. Nigdy nie przeprowadzały obrzędu inicjacji ani też nie należały do ważniejszych stowarzyszeń. W dawnych czasach tacy młodzi musieliby ciężko pracować żeby pokazać swą wartość. Nikt by ich nie słuchał, gdyby żyli tak jak dziś. Ludzie zaczęliby, żeby przekonać się, jak to, co mówią sprawdza się w ich życiu.

Słyszeliście o tych młodych ludziach, którzy dążą do przyjęcia rzeczy białego człowieka i którzy chcą użyć strzelb przeciwko drugim. Tak nie może być. Nasz wódz Krucza Stopa był bardziej bystry niż te dzieciaki i dawno temu powiedział "walka z białym człowiekiem nic nie da - jest ich wielu, jak trawy na prerii. Musimy się nauczyć wspólnie żyć".

Niektórzy z tych młodych są tak leniwi, że nie chce im się w ogóle pracować, ale za to chciałby mieć wszystko, co zobaczą u innych. Kilku przyszło do mnie po radę. "Sięgacie za wysoko - powiedziałem. - Najpierw idźcie do szkoły, zapracujcie na swe utrzymanie i uczcie się życia, a dopiero potem wspinajcie się na szczyt. Jesteście jeszcze za młodzi by mierzyć tak wysoko". Mogą sobie mówić o białym człowiekiem i rządzie wszystko, co chcą, a ja i tak wiem, że nie zdołają go pokonać, bo nie mają ani wykształcenia, ani mądrości. Nie pokonacie rządu karabinami i gadaniną. Potrzeba wam mądrości, pracy i poszanowania.

Byłem kilkanaście razy w Ottawie. Jeżdżę za własne pieniądze, ale zawsze pracuję na rzecz moich ludzi ilekroć się tam znajduję. Jeździłem pociągami, samochodem i samolotem. Lubię podróżować i poznać innych ludzi.

Ostatnio gdy pojechałem do Ottawy wyszedł po mnie na lotnisko przyjaciel, który zorganizował całe to spotkanie. Spytał, co chciałbym robić? Powiedziałem mu, że chcę pójść do Muzeum Narodowego, a także spotkać się z byłym premierem, Johnem Diefenbakerem.

W Muzeum Narodowym spędziłem dwa dni. Byłem zaskoczony widokiem tyłu bardzo

starych przedmiotów należących do moich ludzi. Nie byłem ani smutny, ani szczęśliwy; po prostu zaskoczony. Gdy skończyło mi się dzieciństwo, nie widywałem już takich rzeczy. Myślałem, że większość z nich zginęła, tak więc dobrze, że są one w muzeum. Stały tam cztery wysokie figury - dwóch mężczyzn i dwie kobiety - całe ubrane w stare stroje. Wyglądały bardzo realistycznie. Pracownicy muzeum, spytali mnie, co o tym sądzą. Powiedziałem, że wszystko w porządku. Spytałem dlaczego postaci przodków są wysokie i szczupłe, gdy tymczasem dzisiejsi Indianie są raczej niskiego wzrostu i otyli. "To wasza wina - odpowiedziałem. - Nasi przodkowie jadali tylko surowe mięso, korzenie i jagody, pili źródlaną wodę. Byli zdrowi i rośli wysoko. Potem Europejczycy przynieśli nam wszelkie odmiany obcych pokarmów - rzepę, ziemniaki, cebulę i produkty kupowane w sklepie. Dziś więc zamiast w górę, nasi ludzie rosną wszędy..."

Zabrali mnie na obiad z udziałem wszystkich członków parlamentu. Ktoś przy mikrofonie przedstawił mnie mówiąc, że jestem zwiadowcą, wodzem i Starszym. Powiedział, że chciałem spotkać się z Johnem Diefenbakerem. Widziałem, że siedzi przy stoliku obok. Gdy to usłyszał, wstał i podszedł do mnie. Ja także wyszedłem mu naprzeciw. Uściśniliśmy sobie ręce i powiedziałem: "Przed laty, gdy był pan jeszcze Premierem, przyjechał pan do Calgary na *stampede* i odwiedził indiańską wioskę. Starszyzna prosiła mnie, bym dał panu imię. Nadałem panu imię Peacemaker. (Ustanawiający Pokój) i modliłem się, aby prowadziło pana bezpiecznie aż do zakończenia swego dzieła jako premier. Dziś spotykamy się znowu i obaj jesteśmy bezpieczni, więc się cieszę." Odparł, że miło mu widzieć mnie ponownie i spytał, czy chciałbym przemówić do polityków. Odpowiedziałem, że "nie, bo jestem tylko gościem; nie przyszedłem tutaj mówić. Jest mnóstwo spraw, jakie mógłbym poruszyć - siedzielibyśmy tu przez całą noc - ale sądząc, że zepsułbym wam apetyt."

Brałem udział w różnego rodzaju nabożeństwach. Przeszedłem przez wszystkie obrzędy przekazane przez moich indiańskich przodków, uczestniczyłem w wielu obrzędach przyniesionych przez Długie Suknie. Wiele rzeczy się pokrywa, na obu

drogach. To dlatego, że wszyscy razem zaczęliśmy. Na przykład, zanim w ogóle zabierzemy się za cokolwiek, składamy kadzidło w ofierze. Palimy kadzidło i oczyszczamy się. Stosujemy jałowiec, szalwię, sosnę i inne rośliny. W kościele Długie Suknie także praktykują okadzanie i stosują święty olej do oczyszczenia się. Długie Suknie rozdają kawałki pożywienia podczas komuni. W czasie Tańca Słońca my robimy to samo - rozdajemy kawałki języka bizona i to jest nasza komunia.

Gdy ukończyłem szkołę i nauczyłem się czytać, zacząłem studiować Biblię. Znalazłem tam wiele interesujących rzeczy, ale jest coś, na co nigdy nie trafiłem, mianowicie na najmniejszą choćby wzmiankę o Indianach. Może to przegapiłem, ale doszedłem do takiego oto wniosku: Pismo Święte zostało napisane na użytek za oceanem. To księga podyktowana przez Jezusa, Syna tego, który stworzył nas wszystkich. Jezus żył za oceanem i jego księga tam właśnie została napisana.

Ludzie pytają mnie: "czy w kiedykolwiek będziemy wspólnie żyć - kiedy Indianie i biali ludzie będą się nawzajem szanować?" Myślę, że ten czas nadchodzi. Stanie się to wtedy, gdy wszyscy będziemy mieć taki sam kolor skóry; powoli zbliżamy się do tego. Ostatnim razem, gdy byłem na wschodzie, paru Indian zadało mi to samo pytanie. "Jesteście już blisko - powiedziałem - spójrzcie na swoją skórę, nikt z was nie ma takiej ciemnej skóry jak ja". Uważam, że kiedy wszyscy będziemy mieć taki sam kolor skóry, to wszyscy ludzie nas zauważą i rząd zacznie nas tak samo traktować i wypełni swe obietnice traktatowe. To dlatego opowiadam te wszystkie historie, bo pewnego dnia nie będzie już prawdziwych Indian. Ludzie będą wszyscy tacy sami...

Ben Calf Robe

Tłum. Marek Maciołek

* Jest to końcowy rozdział książki *SIKSIKA. A Blackfoot Legacy* by Ben Calf Robe (with Adolf & Beverly Hungry Wolf. Good Medicine Books, Invermere, B.C. Canada 1979) zatytułowany "Moje rozważania o życiu". Poprzedza go kilkanaście rozdziałów o historii, duchowości i życiu społecznym Czarnych Stóp.

Szczęśliwe dni



Indianie są zazwyczaj przedstawiani jako ludzie poważni, posępni, rzadko się odzywający i nigdy nie śmiejący się, ani żartujący. Jakkolwiek mogła być to prawda w odniesieniu do niektórych plemion, to z pewnością nie było tak u Indian, którzy żyli na Wielkich Równinach. Ludzie ci byli w większości rozmowni, weseli i niefrasobliwi, uwielbiali żarty i należeli do ludzi często robiących kawały. Prawdą jest, że w obecności obcych byli przeważnie cisi i odnosili się do nich z rezerwą, ale to nic innego jak tylko wstyd i zakłopotanie, jakie czuje dziecko w obecności obcych. Kiedy Indianin już się z kimś zapozna, ta rezerwa się zacierza i znów jest spokojny, znów jawi się w swych prawdziwych kolorach jako wesołe dziecko. Z całą pewnością Czarne Stopy nie byli milczącymi i ponurymi ludźmi. Przed zniknięciem bizonów byli szczęśliwi i pogodni, bo dlaczego niby nie mieliby być. Żywność i ubrania mieli dzięki polowaniom i garbowaniu. Zwierząt futerkowych było pod dostatkiem, a więc ludzie byli zamożni. Mięsa, naprawdę jedynej żywności o jaką zabiegali, było pod dostatkiem i nic nie kosztowało. Swoje ubrania, skóry i futra wymieniali z handlarzami na kolorowe koce i różne ozdoby do strojów. Nie potrzebowali niczego.

Powróćmy pamięcią do tych szczęśliwych dni i zobaczmy jak spędzali swój czas.

Właśnie wschodzi słońce. Słupy dymów wypełniają z otworów dymnych tipi i mieszają się z porannym powietrzem. Wszędzie widać kobiety zajęte noszeniem wody i drewna na opał. Przygotowują prosty posiłek. Teraz z tipi wychodzą mężczyźni i kierują się w stronę rzeki, za którymi biegną ich dzieci. Te, które są za małe by iść, niesione są na rękach.

Ducierają do brzegu wody, zrzucają swe okrycia i trzęsąc się wskakują do lodowatej wody. Zima czy lato, burza czy słońce, jest to ich codzienny obyczaj. Mówią, że czyni ich to twardymi i zdrowymi, umożliwia im to także znieść przykre zimno podczas polowania na odkrytych lodowatych równinach. Później wracają do tipi, gdzie kobiety przygotowały poranny posiłek. Danie składające się z gotowanego mięsa – średnio półtora kilograma – stawiam jest przed każdym mężczyzną, dzieciom podaje się tyle ile mogą zjeść, a żony dostają resztę. W tym czasie młodzi mężczyźni i chłopcy, którzy o świcie wyruszyli z nimi przeprowadzają konie. Jeżeli bizona są w pobliżu i jeżeli zdecydowano się tego dnia na wypad, każdy myśliwy bierze swego ulubionego konia do polowań i wyruszają wszyscy razem; za nimi na travois lub jucnych koniach jadą kobiety, które zajmować się będą sprawami rzeźniczymi i transportem mięsa do obozu. Jeżeli w pobliżu nigdzie nie ma stada bizonów, wyjeżdżają dalej pojedynczo, dwójkami lub trójkami, by polować na jelenie, łosie lub na pojedyncze bizona, bądź na to, co spotkają. Kobiety pozostałe w obozie nie siedzą beczynnie. Całymi dniami garbują skóry na ubrania, suszą mięso, szyją mokasyny i wykonują tysiące innych zadań, jedno po drugim. Młodzi mężczyźni, którzy zostali w domu dokładnie czyszczą swoje włosy, splatają je w warkocz, a jeśli jest ładna pogoda malują swoje twarze. Potem jeżdżą konno lub spacerują wokół obozu tak, aby młode kobiety mogły zauważyć jacy są piękni.

Uczciowania rozpoczynały się przeważnie wczesnym rankiem i trwały do późnej nocy. Żona mężczyzny, który wydaje ucztę przygotowuje żywność w najlepszym gatunku jaki mają, a kiedy wszystko jest już gotowe, on wychodzi przed dom i wykrzykuje zaproszenia. Imię każdego gościa wypowiada trzy razy, informując, że jest on zaproszony na ucztę i zakłada ogłaszając, że zostanie wypalona pewna ilość fajek (zazwyczaj trzy). Gdy goście się zgromadzą, każdemu podany będzie posiłek, jedno danie, obojętnie ile tego będzie, dużo czy mało, to jest to wszystko co dostanie. Jeżeli nie zje wszystkiego, może to co zostanie zabrać do domu. Gospodarz nie je razem z gośćmi, przygotowuje tytoń, dokładnie miesza go z ziołami i kiedy wszyscy kończą jedze-

nie, nabija i zapala fajkę. Pałac, przekazuje się ją od jednego do drugiego, zaczynając od mężczyzny z lewej strony. Kiedy ostatnia osoba z lewej strony gospodarza wypaliła fajkę podawana jest ona z powrotem dookoła do osoby z prawej strony drzwi i panowie palona w lewą stronę. Goście nie rozmawiają, od razu, kiedy jedna osoba zacznie mówić, oczekuje się, że wszyscy będą jej słuchali i nigdy się jej nie przerywa. W czasie dnia tematami rozmów są zazwyczaj polowania, wojny i dziwne przygody, wszystko to przemieszane jest sporą dawką dobrodusznego żartów i wysławiania się. Kiedy trzecia, ostatnia fajka została już wypalona gospodarz ostentacyjnie wypukuje popiół i mówi *Kyi*, po czym wszyscy goście wstają i jeden za drugim wychodzą na zewnątrz. Bywają takie dni, że wszyscy mężczyźni znajdują się w obozie i chodzą z jednego spotkania na drugie.

Ulubionym sposobem spędzania czasu było granie w małe kółko nazywane *It-se-wah*. Kółko to miało około dziesięciu centymetrów średnicy i pięć promieni, jak szprychy, na które nawleczone były różnokolorowe paciorki zrobione z kości lub rogu. Miejsce gry to wyodrębniony kawałek ziemi, na którym na dwóch przeciwnych bokach umieszczano pień. Na każdym końcu odcinka ustawiało się dwóch mężczyzn, którzy grali przeciwko sobie. Zawsze otaczał ich tłum ludzi, robiąc zakłady. Kółko toczne było od pnia do pnia, a mężczyzna z miejsca, którego zostało puśczone, rzucał w nie strzałą.



Najczęściej rzut odbywał się tuż przed zatrzymaniem się kółka o pień na przeciwnym końcu. Punkty liczone, gdy strzała przeszła przez kółko lub kiedy kółko po zatrzymaniu łączyło się ze strzałą. Miejsce i znajdujące się najbliżej strzały koralki określały liczbę punktów. Zawodnik, który pierwszy zdobył dziesięć punktów wygrywał. Była to bardzo trudna gra i aby wygrać trzeba było być bardzo zręcznym.

Inną popularną grą były gra zwana przez większość południowych plemion "ręce". (Odpowiednik polskiej gry zwanej "w której ręce" - red.) Rekwizytami do gry były dwie małe podłużne kości, jedna z czarnym pierścieniem wokół. Ci, którzy brali udział w tej grze numerowani byli od dwóch do dwunastu, podzieleni na dwa zespoły i ustawieni po przeciwnych stronach w tipi. Robiono także zakłady, każdy zakładał się z siedzącym na przeciwko niego. Następnie jeden z mężczyzn brał kości i dzięki umiętnym ruchom rąk i przekładaniu kości z jednej ręki do drugiej starał się uniemożliwić osobie znajdującej się na przeciwko niego odgadnięcie, w której ręce trzyma oznaczoną kość.



W grze można było zdobyć dziesięć punktów. Strona, która pierwsza zdobyła tę ilość wygrywała i zabierała kości. Grze zawsze towarzyszyła piosenka o niesamowitej, wręcz niezziemskiej melodii, jeśli można to tak nazwać, ale kiedy przysłuchało się jej bliżej była bardzo czuła i spokojna. Najpierw było to ciche, ale dosyć wyraźne mruzcando, jak delikatny szelst wietrzny, stopniowo stawała się coraz głośniejsza, aż osiągała bardzo wysoką tonację, by zaraz opaść w głębokie basy. Dźwięk stopniowo cichł, by za chwilę znów się powtórzyć. Ukrywający kości kołysał głową, dłońmi i całym ciałem w takt muzyki, co dodatkowo myliło odgadującego. Stawki bywały czasem wysokie, nawet dwa lub trzy konie, a zdarzało się że i wyższe. Znani byli mężczyźni, którzy tracili wszystko co posiadali włącznie z ubraniami.

Dzieci, a przynajmniej chłopcy bawili się i robili to, na co mieli ochotę. Inaczej było z dziewczętami. Dla nich obowiązki zaczynały się wcześniej. Przynosiły wodę i drewno na opał dla swych matek, naprawiały mokaasyny, a gdy tylko były wystarczająco silne, uczono je garbowania skór i futer, szycia tipi, robienia travois i przyuczano do wszystkich innych kobiecych spraw. Chłopcy bawili się w wojnę, polowali ze swymi łukami i strzałami w krzakach otaczających obóz. Wykonywali podobizny zwierząt, a latem dosłownie połowę czasu spędzali w wodzie. Zimą kręcili baki na lodzie,

zjeżdżali ze wzgórz na sankach zrobionych z bizonich żeber i czasami polowali na króliki.



Krótko po południu zaczynali powracać myśliwi z upolowanymi antylopami, jeleniami, bizonami i łosiami, niekiedy niedźwiedziami i bobrami. Obóz zdawał się ożywiać. Rozlegały się głośne zaproszenia na ucztę. W jednym miejscu leżał jakiś mężczyzna i śpiewał, grając przy tym na bębnie, w innym z kolei grupa młodych ludzi tańczyła taniec wojenny, a wszędzie ludzie jedli, śpiewali, rozmawiali i żartowali. Gdy nad obozem zapadał zmrok, hałas i śmiechy stawały się jeszcze głośniejsze. W wielu tipi tańczono. Kobiety ubrane w swe najlepsze suknie siedziały po jednej stronie tipi, mężczyźni po drugiej. Wszyscy śpiewali, a trzech lub czterech mężczyzn akompaniowało im na bębnach. Muzyka była żywa, ale co nieco szarpana. W przerwach wstawali i tańczyli. Krok polegał na ugięciu nóg w kolanach i kołysaniu ciałem. Kobiety trzymały swe ręce i dłonie w różnych, pełnych wdzięku pozycjach.

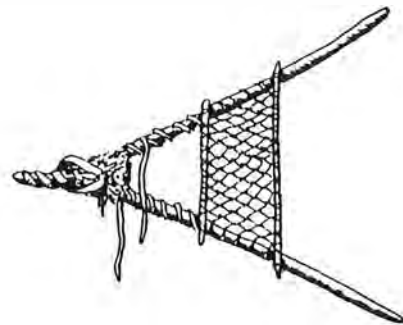
Wraz z nocą nadchodził czas opowiadania o cudownych dokonaniach bogów. Nie można było o tym opowiadać w dzień. Stary Człowiek (Old Man) nie lubił tego, kto łamał ten zakaz. Mógł pokarać go ślepotą. Wszyscy Indianie są urodzonymi mówcami, ale niektórzy z nich w sztuce wyrazu przewyższają pozostałych. Ich pozy, gesty i znaki są tak sugestywne, że nawet bez słów zrozumieć można opowieść, której towarzyszą. Widziałem opowiadaczy tak skupionych, tak dalece pochłoniętych przez to, co opowiadali, że aż trzęsących się z podniecenia. Mała publiczność słuchała go jak urzeczona. Zasiłuchane kobiety wypuszczały z dłoni na wpeł zrobione mokaasyny, mężczyźni gaszy fajki. Opowiesci w swej przeważającej części mówiły o dawnych bogach i ich cudownych czynach. Z reguły opowiadali je starzy ludzie, wojownicy, których najlepsze lata już minęły. Opowieści tłumaczyły niezwykle zjawiska życia, a często też były moralnymi wskazówkami dla młodzieży.

Rozrywka zajmowała poczesne miejsce w życiu Czarnych Stóp. Różne stowarzyszenia podejmowały często tańce, a pozostała ludność obozu przychodziła im się przyglądać. Maski imitujące głowy zwierząt, jaskrawo pomalowane ciała i rozmaite dziwne przedstawienia drogą były indiańskiemu sercu.

Tak wyglądało życie codzienne Czarnych Stóp w czasach, gdy jeszcze żyły bizona. Gdy obóz przenosił się na inne miejsce, kobiety pakowały dobytek, składały tipi i ładowały wszystko na konie lub na travois. W tym czasie wyruszali już wędzownie, a zaraz za nimi wojownicy ze stowarzyszenia Odważnych. Po przejściu niewielkiego odcinka zatrzymywali się, by uformować kolumnę. Kobiety, dzieci, konie i psy maszerowały w zupełnym nieporządku, w kolumnie rozciągniętej nieraz na milę lub dwie. Wielu mężczyzn jechało daleko z przodu i po obu bokach maszerującej kolumny, polując oraz wypatrując śladów wroga.

Zanim Czarne Stopy złobyli konie, ich jedynymi pociągowymi zwierzętami były psy. Prawie cały dobytek przenoszony był przez ludzi. Można więc sobie wyobrazić, że w tamtych czasach, podejmowane podróże nie były zbyt dalekie, a obóz przenoszony był zaledwie na kilka mil.

W przenoszonym obozie największymi i najcięższymi rzeczami były tipi. Niekiedy były one bardzo wielkie, składające się nawet z trzydziestu skór jałówek bizonich. Po złożeniu obejmowały dwa do trzech ognisk, mniej więcej tak  z góry to wyglądało tak . Skóry zszywano w długie pasy. Jedno tipi składało się często z czterech takich pasów, które łączono. Psy nosiły zapasy, narzędzia i naczyńca, czasem owe skórzane pasy, jeśli nie były one zbyt duże. Nosiły także inne ciężkie rzeczy, jeśli można je było zapakować w małe pakunki, jako że psy są zwierzętami niewielkimi i nie mogą dźwigać dużych ładunków. Jednakże zdarzały się psy na tyle silne, że dźwigały ładunki o wadze ponad 45 kg. Ciągnęły także travois, na których znajdowały się pakunki, a niekiedy i niemowlęta. Nie zawsze był to bezpieczny sposób transportowania dzieci, czego przykładem jest zdarzenie, o którym opowiadała matka Johna Monroe'a, i które miało miejsce za życia jej ojca. Indianie, przenosząc obóz, szli przez odcinek odsłoniętej prerii, pomiędzy dwoma zagajnikami, gdy nagle runęło na nich stado rozszuszonych bizonów. Obładowane psy rzuciły się do ucieczki, ciągnąc ze sobą travois i gubiąc przy tym ładunek gdzieś na prerii. Wśród porzuconych gdzieś w wysokiej trawie rzeczy znajdowały się dwa nienowłęta, których nigdy nie odnaleziono.



Częścią codziennego życia tych ludzi były także pewne zwyczaje i wierzenia.

Palenie fajki w tipi odbywało się w sposób następujący. Zaczynał palić gospodarz, po czym fajka wędrowała w jego lewą stronę, palona i podawana z rąk do rąk, aż do człowieka siedzącego przy wejściu. Wówczas już bez palenia wracała tą samą drogą do gospodarza, który podawał ją na swoją prawą stronę, w dalszym ciągu bez palenia, do człowieka siedzącego najbliżej wejścia. Ten zaciągał się i podawał fajkę swemu sąsiadowi po lewej stronie. W ten sposób fajka ponownie wracała do gospodarza. Osoba wchodząca do tipi nie mogła przejść pomiędzy palącymi, a ogniskiem.

Uroczysta forma sprawdzania czyjejs wiarygodności, odpowiednik naszej przysięgi, związana była z paleniem fajki, co jak wiadomo jest świętą ceremonią dla wielu indiańskich plemion. Jeżeli mężczyzna siedzący w tipi opowiadał swoim towarzyszom niewiarygodne historie, a oni chcieli go sprawdzić, wtedy podawano szamanowi fajkę. Szaman malował cybuch fajki na czerwono, modlił się

przez chwilę, a potem mówił, że jeżeli opowieść jest prawdziwa, niech jej autor żyje długo, jeżeli jednak skłamał, niech krótko umrze. Następnie fajkę nabijano, podpalano i podawano człowiekowi, którego wiarygodność miała być sprawdzona, a który przez cały czas był świadkiem tej ceremonii. Szaman zwracał się do niego: "Przyjmij tę fajkę, ale pamiętaj, jeżeli zapalisz twoja historia musi być równie prawdziwa jak to, że w tej fajce jest otwór i równie prosta jak otwór w jej cybuchu. Wówczas życie twoje będzie długie, ale jeśli skłamałeś dni twoje są policzone." Mężczyzna mógł odmówić zapalenia, mówiąc: "Powiedziłem prawdę i nie ma sensu poddawania mnie próbie fajki." Jeżeli jej nie zapalił, to nikt mu nie wierzył i uważany był za kłamcę, jeżeli natomiast wziął fajkę i zapalił ją, to wszyscy wierzyli w to co opowiadał. Była to najbardziej uroczysta forma przysięgi. Czarne Stopy robili fajki z czarnego lub zielonego łupka albo z piaskowca.

Czarne Stopy nie biją swoich dzieci, ale to nie znaczy, że nie dbają o ich wychowanie. Dzieci muszą być uczone, w przeciwnym razie nie będą nic wiedziały, jeśli nie będą nic wiedziały, to ich życie nie będzie miało sensu, z tej prostej przyczyny, że sobie nie poradzą. Wychowanie obejmuje zarówno naukę obyczajów, jak i inne, bardziej potrzebne w życiu rzeczy.

Jeżeli w tipi, gdzie siedzą starsi, przebywają młodzi chłopcy, to całkiem prawdopodobne, że będą rozmawiać ze sobą i śmiać się ze swoich żartów tak głośno, że mężczyźni nie będą wstanie zamienić słowa. Jeżeli taka sytuacja nadmiernie się przeciąga, to jeden ze starszych wstaje, wychodzi na zewnątrz i wraca z długim kijem, siadając z powrotem na swoim miejscu. Unosi kij wysoko do góry, tak aby wszystkie dzieci mogły go zobaczyć i wypowiada słowa ostrzeżenia: "Dam wam wycisk!" Ma to uspokoić chłopców i jest zawsze skuteczne, ale tylko przez pewien czas. Po jakimś czasie chłopcy zapominają o groźbie i hałas ponownie się wzmacnia. Wówczas ów mężczyzna, już bez zbędnego ostrzeżenia, uderza kijem w głowę jednego z chłopców, co ponownie ich uspokaja, oczywiście na jakiś czas.

Zimą, kiedy w tipi siedzieli starsi i młodszy, a z powodu nieuwagi ognisko zaczynało przygasnąć, przeważnie ktoś ze

starszych krzyczał: "Uważajcie na skunksa!" Co było wezwaniem skierowanym do młodych, aby dołożyli drewna do ognia. Jeżeli nikt się nie ruszył, to ten który krzyknął mógł cisnąć polanem w grupę chłopców, raniąc nawet przy tym któregoś z nich. Mówi się, że jeżeli w tipi znajdują się jednocześnie ludzie starsi i młodszy i ognisko zaczyna przygasnąć, jeden ze starszych unosił niedopalone końcówki drewna nad ogień, co sprowadzało na wszystkie dzieci znajdujące się w tipi parchy i świerzb. Toteż na okrzyk "Uwaga na skunksa!" dzieci czym prędzej dokładały drewna do ogniska.

Istniało wiele sposobów nauczania i szkolenia dzieci. Mężczyźni często mówili bawiącym się w obozie chłopcom, jak powinni się zachowywać, by odnieść sukcesy w życiu. Wskazywali, że aby cokolwiek osiągnąć muszą być dzielni i wytrzymali na wojnie, że długie życie nie jest pożądane, gdyż starzy ludzie nie mają łatwego życia, w tipi zawsze siadają w najgorszym miejscu i są powszechnie lekceważeni. Marzną w czasie zmiany obozowiska, ich wzrok nie sięga daleko, a ich zęby wypadają i nawet nie mogą pogryźć pożywienia. Tylko nędza i niewygoda czekają na starych ludzi. Znacznie lepiej zginąć, walcząc dzielnie w bitwie w swym najlepszym czasie, gdy ciało jest silne, wzrok jest dobry, zęby zdrowe, a włosy długie i czarne. Przykład zwycięskich i znanych wojowników pobudzał chłopców do chęci dokonania czegoś wyjątkowego. Oczywiście takim radom przyśluchiwała się tylko pewna część chłopców, inna puszczała je mimo uszu.

Dziewczęta także były pouczane. Wszyscy Indianie chcieli, by ich kobiety były poważne i zrównoważone, a nie wycznie chichoczące. Czarna Stopa, który miał dwie lub trzy córki często rozmawiał z nimi i dawał im dobre rady. Obserwował je i oceniał ich charakter, a pewnego dnia mógł wziąć kopyto bizona, ozdobić je fantazyjnie piórami i gdy nadszedł odpowiedni czas wezwać jedną ze swych córek, mówiąc: "Zyczyłbym sobie, abyś stanęła przede mną i patrzyła mi prosto w oczy, bez względu na to co będę robił". Potem na przykład śpiewał wesołe piosenki, wywijając przed twarzą dziewczyny kopytem bizona i patrząc jej cały czas prosto w oczy. Najprawdopodobniej, zanim skończył śpiewać, dziewczyna zaczynała chichotać. Jeżeli tak się stało,

ojciec przestawał śpiewać i nakazywał jej spoważnieć. Gdy chichot ustawał, ojciec jeszcze raz prosił o zachowanie powagi i powtórnie zaczynał śpiewać. Tym razem najprawdopodobniej córka już się nie śmiała. Takie badania charakteru przeprowadzał z pozostałymi córkami, a tej która była najpoważniejsza udzielał jeszcze dobrych rad. Ze wszystkimi córkami rozmawiał o obowiązkach kobiety i niebezpieczeństwach, które na nie czekają.

W dniach ceremonii Magicznego Szałas mógł zabrać córkę i wskazując na kobietę Magicznego Szałas, mógł powiedzieć: "Ta kobieta zbudowała Magiczny Szałas, jest szanowana i poważana przez wszystkich. Kiedyś była taką samą dziewczynką jak ty. Jeżeli będziesz dobra może dostąpisz kiedyś takiego zaszczytu, jak ona dzisiaj. Pamiętaj to i staraj się żyć godnie."

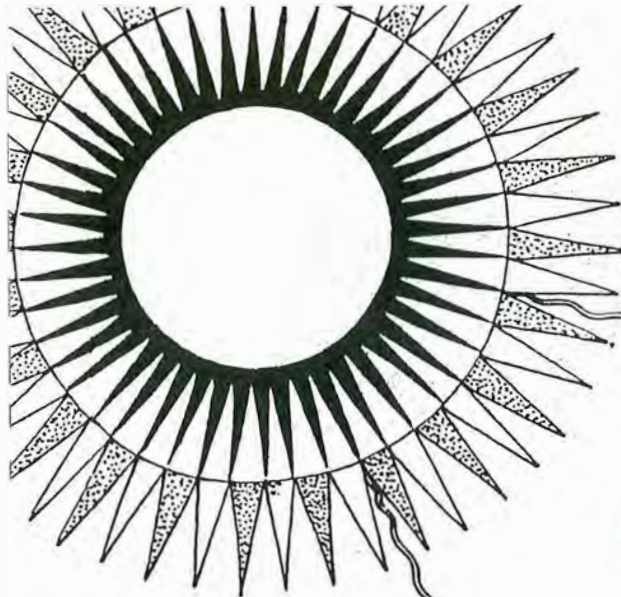
Również chłopcy zbierali się w tych dniach, ale po to, by obserwować młodych wojowników opisujących swe czyny. Wojownik powstawał, trzymając w dłoni zwinniętą z patyczkami. Wyciągał jeden z nich i opowiadał o jakimś bohaterskim czynie, po czym patyk wyrzucał. Opowiadał tak długo, aż skończył mu się patyki. Wtedy siadał, a o swoich czynach zaczynał opowiadać następny. Chłopcy to wszystko słyszeli i widzieli. Mogli także zauważyć, jak bardzo poważani i szanowani są mężczyźni, którzy dokonali rzeczy najbardziej wspaniałych. Być może mówili sobie, że ci ludzie także byli kiedyś małymi chłopcami, i że oni, jeśli będą bardzo odważni, również mogą w przyszłości dokonać tego samego. Nierzadko więc zdarzało się, że mali chłopcy wykradali się z obozu i podążali za wyprawą wojenną. Często robili to bez wiedzy rodziców, skąpo zaopatrzeni, bez jedzenia czy dodatkowej pary mokasyń. Podkradali się pod wrocie obozu, obserwowali młodych wojowników, ucząc się w ten sposób, jak należy zachowywać się na wojnie by przeżyć. Coraz lepiej poznawali też swój kraj.

Mężczyźni z plemienia Czarnych Stóp często oddalają się samotnie, aby pościć i w snach prosić nadprzyrodzone istoty o pomoc. Nie znaczy to, że robili tak wszyscy, ale nawet i z tych, którzy próbowali tylko nieliczni dotrwali do końca, tzn. pościli przez pełne cztery dni lub otrzymali pomoc, której szukali.

Próbę taką niekiedy podejmowali młodzi chłopcy przed wyruszeniem na swą pierwszą wyprawę wojenną, ale przeważnie czynili tak ludzie już dojrzały. Zobowiązani byli wtedy do powstrzymania się przez cztery dni od picia i jedzenia. Przez dwie noce mogli spać na prawym boku, a przez następne dwie na lewym. Istotne jednak było, aby miejsce wybrane do tego celu było nie uczęszczane oraz na tyle niebezpieczne, aby było próbą nerwów i odwagi. Odpowiadały tym warunkom wierzchołki gór, wysoka grań tuż nad samym urwiskiem, gdzie najmniejszy ruch mógł spowodować śmierć w przepaści, lub wyspy na jeziorze, do których można było dopłynąć tylko na tratwie i na których istniało niebezpieczeństwo, że człowiek zostanie porwany przez *Su-ye tup-pi* czyli Podwodnych Ludzi; mogły to być w końcu miejsca, gdzie kogoś pochowano i krążyły tam duchy. Gdziekolwiek by się nie udał, budował tam sobie mały szałas z gałęzi, mchu i liści dla osłony przed deszczem. Po odmówieniu modlitwy do słońca i odśpiewaniu mu uroczystych pieśni, wczolgiwał się do prowizorycznej chatki i rozpoczynał post. Nie wolno mu było zabierać niczego do przykrycia się. Koło poszczącego zawsze leżała nabita fajka, aby mógł ją zapalić duch lub sen, który miał nadejść. Nie modlili się do kogoś wybranego, ale do wszystkiego. Często pod koniec czwartego dnia tajemniczy pomocnik - zazwyczaj, co nie znaczy zawsze, objawiał się poszczącemu pod postacią jakiegoś zwierzęcia - rozmawiał z nim, udzielał mu rad, wskazując na sposób życia i obdarowywując go swoją mocą. Zdarzało się jednak i tacy, którym nawet po mimo postu nie udawało się to, wielu kończyło post przed czasem, nie mogąc wytrzymać trudu czterodniowej głodówki lub przestraszeni niesamowitością miejsca czy samotnością albo czymś co, jak myśleli, zobaczyli lub usłyszeli. Porażka nie była hańbą, ani nawet niepowodzeniem, zwłaszcza gdy się wie, że moc nie zawsze, a nawet niezbyt często, mówi to, co ktoś powinien robić.

George Bird Grinnell

Z książki G. E. Grinnella pod tytułem "Pawnee, Blackfoot and Cheyenne, History and Folklore of the Plains" wydanej w Nowym Jorku w 1961 roku, przetłumaczył Dariusz Pohl.



CHŁOPIEC Z BLIZNĄ

(Opowieść Czarnych Stóp)



I

W dawnych czasach nie było wojen. Wszystkie plemiona pozostawały w pokoju. W owych dniach żył człowiek, który miał córkę, bardzo piękną dziewczynę. Wielu młodzieńców ubiegało się o jej rękę, ale ona za każdym razem kręciła głową i mówiła, że nie chce męża.

- Dlaczego? - pytał ją ojciec. - Niektórzy z nich są bogaci, przystojni i odważni.

- Dlaczego mam wychodzić za męża? - odpowiadała dziewczyna. - Mam bogatego ojca i matkę. Nasz dom jest ładny. Torby na żywność są zawsze pełne. Mam mnóstwo skórzanych okryć i miękkich futer na zimę. Dlaczego mam się martwić?

Stowarzyszenie Kruka urządziło wtedy tańce. Wszyscy byli ładnie ubrani i wystrojeni; każdy starał się wypaść jak najlepiej. Po pokudniu paru tancerzy poprosiło dziewczynę o rękę, lecz ona wciąż mówiła "nie". Później Stowarzyszenie Byków, Lisów i inne jeszcze urządziły swoje tańce, sporo wielkich wojowników i wszyscy bogaci prosili tego człowieka o rękę córki, lecz ona każdemu mówiła "nie". Wtedy jej ojciec rozgniewał się i powiedział:

- Dlaczego tak postępujesz? Wszyscy najlepsi mężczyźni prosili cię o rękę, a

ty wciąż mówisz "nie". Pewnie spotykasz się potajemnie z kochankiem.

- Ach! - zaczęła lamentować matka. - Jaka hańba okryłaby nas, gdyby urodziło się dziecko, a nasza córka byłaby bez męża.

- Ojciec! Matko! - zawałała dziewczyna. - Miejcie litość dla mnie. Nie spotykam się potajemnie z kochankiem, ale posłuchajcie teraz prawdy. Istota W Górze (Słońce) powiedziała mi: "Nie wychodź za męża za żadnego z mężczyzn, ja jestem dla ciebie; w ten sposób będziesz szczęśliwa i dożyjesz sędziwego wieku. Uważaj. Nie możesz wychodzić za męża. Jesteś moja."

- Ach! Zawsze musi być tak, jak Ono powie - zawałał ojciec i już nigdy do tego nie wracali.

II

Żył sobie biedny człowiek, bardzo biedny. Jego ojciec, matka i wszyscy jego krewni odeszli na Piaskowe Wzgórze. Nie miał domu, ani żony która by garbowała skóry na okrycia albo szyła mokasy. Dziś zatrzymywał się w jednym miejscu, a nazajutrz jadł i spał już w innym. W taki sposób żył. Młody był i przystojny, poza tym, że na policzku miał bliznę, a jego skórzane okrycia były stare i liche.

Po owych tańcach paru młodych mężczyzn spotkało tego biednego Chłopca Z Blizną. Naśmiewali się z niego.

- Dlaczego ty nie poprosisz tej dziewczyny o rękę? Jesteś taki bogaty i przystojny! - Chłopiec Z Blizną nie śmiał się i odpowiedział: - Dobrze! Zrobię to, co mówicie. Pójdę i spytam ją.

Wszyscy sądzili, że będą się dobrze bawić jego kosztem. Śmiali się długo. Chłopiec Z Blizną poszedł jednak nad rzekę, tam gdzie kobiety chodzą po wodę. Cekał a wkrótce nadeszła dziewczyna.

- Dziewczyno, zaczekaj - zawałał. - Chcę z tobą pomówić. Nie chcę cię pytać podstępnie, lecz otwarcie tam, gdzie słońce patrzy i może wszystko zobaczyć.

- Zatem mów - zachęciła go.

- Pamiętam, gdy odmówiłaś tym wszystkim, którzy byli młodzi, bogaci i odważni. Teraz oni śmieją się ze mnie i mówią: "Dlaczego ty jej nie prosiłeś?" Jestem biedny, bardzo biedny. Nie mam domu, pożywienia, ubrania, skórzanych okryć ani ciepłych futer. Nie mam krewnych, bo wszyscy oni odeszli na Piaskowe

Wzgórze. Jednak teraz zwracam się do ciebie, miej litość i zostań moja żona.

Dziewczyna skryła twarz za rękawem sukni i czubkiem mokasy zaczęła zagarniać piasek. Po jakimś czasie rzekła:

- To prawda, odmówiłam wszystkim bogatym chłopcom. Teraz biedak prosi mnie o rękę i jestem z tego zadowolona. Zostanę twoją żoną i ludzie będą szczęśliwi. Jesteś biedny, ale to nie ma znaczenia. Mój ojciec da ci psy, matka uszyje nam tipi. Ludzie zrobią nam okrycia i futra. Już nie będziesz biedny.

Chłopiec był uszczęśliwiony i zerwał się żeby ją pocałować, ale ona odsunęła się i powiedziała:

- Zaczekaj! Słońce rozmawiało ze mną i mówiło, że nie mogę wychodzić za męża, gdyż należę do niego. Twierdzi, że jeśli Go posłucham dożyję szczęśliwego wieku. Idź więc do Słońca i powiedz Mu: "Ta, z którą rozmawiałeś wypełniła Twoją wolę. Nigdy nie popełniła złego uczynku, lecz teraz chce wyjść za męża. Ja chcę wziąć ją za żonę." Poproś je aby stało bliznę z twojej twarzy. To będzie Jego znak. Będę wiedziała, że zgadza się na to, lecz jeśli odmówi albo nie uda ci się znaleźć Jego domu, nie wracaj już do mnie.

- Och! - krzyknął chłopiec. - Pierwsze twoje słowa były dobre. Czuję się zadowolony, ale teraz ogarnęła mnie ciemność. Moje serce jest martwe. Gdzie znajduje się ten daleki dom? Którędy rozciąga się szlak, którym nikt jeszcze nie wędrował?

- Bądź mężny, bądź mężny - rzekła dziewczyna i poszła do domu.

III

Chłopiec Z Blizną zasmucił się. Ukrył twarz w dłoniach i próbował zastanowić się, co robić. Po chwili wstał i poszedł do starej kobiety, która była mu zyczliwa.

- Miej litość dla mnie - powiedział. - Jestem bardzo biedny. Ruszam dziś w długą podróż, zrób mi mokasy.

- Dokąd idziesz? - spytała staruszka. - Nie ma wojny, jesteście bezpieczni.

- Nie wiem, dokąd pójdę - odpowiedział chłopiec - mam kłopot, ale nie mogę ci teraz o tym mówić.

Stara kobieta zrobiła mu więc mokasy-

ny z podeszwami z niegarbowanej skóry. Siedem par. Dała mu też torbę pemikanu z jagód, suszonego mięsa i sadła; miała bowiem dobre serce i lubiła tego chłopca.

Samotnie, ze smutnym sercem wspiął się na urwisko i ostatni raz spojrzął na wioskę. Zastanawiał się, czy jeszcze kiedykolwiek zobaczy swoją ukochaną i tych ludzi.

- *Ha! fu!* Miej litość nade mną, Słońce! - krzyknął w rozpaczy i ruszył szukać szlaku.

Wiele dni wędrował przez rozległe równiny, wzdłuż porośniętych drzewami rzek, pośród gór i z każdym dniem jego torba z pożywieniem stawała się lżejsza. Jadł bardzo mało, zbierał jagody i korzenie, czasami zabijał jakieś zwierzę. Pewnej nocy zatrzymał się w domu Wilka.

- *Ha! ja!* - powiedział Wilk. - Co robisz tak daleko od domu, mój bracie?

- Ach - powiedział Chłopiec Z Blizną. - Szukam miejsca, gdzie mieszka Słońce. Wysłano mnie na rozmowę z Nim.

- Wędrowałem wiele - powiedział Wilk. - Znam całe te równiny, dolinę i góry, ale nigdzie nie widziałem domu Słońca. Czekaj, znam kogoś, kto jest bardzo mądry. Spytaj Niedźwiedzia, on ci może powiedzieć.

Nazajutrz Chłopiec Z Blizną powędrował dalej, zatrzymując się od czasu do czasu by nabierać trochę jagód, a gdy nadeszła noc dotarł do domu Niedźwiedzia.

- Gdzie jest twój dom? - spytał Niedźwiedź. - Dlaczego podróżujesz samotnie, mój bracie?

- Pomóż mi, miej litość! - poprosił chłopiec. - Szukam Słońca z powodu słów mojej ukochanej. Idę poprosić Je o nią.

- Nie wiem, gdzie się Słońce zatrzymuje - odpowiedział Niedźwiedź. - Przeszedłem przez wiele rzek, znam góry, a jednak nigdy nie widziałem Jego domu. Ale jest jeszcze ktoś - ten z prądkowaną twarzą jest bardzo bystry. Idź go zapytać.

Borsuk siedział akurat w swej norze. Chłopiec pochylił się nad nią i głośno zawołał:

- Och, sprytna prądkowana twarz! Och, wspaniałomyślne zwierzę! Pragnę z tobą pomówić!

- Czego chcesz? - zapytał Borsuk wysuwając głowę z nory.

- Chcę znaleźć dom Słońca - odpowiedział Chłopiec Z Blizną. - Chcę z Nim mówić.

- Nie wiem, gdzie Ono żyje - odparł Borsuk - nigdy tak daleko się nie wyprawiłem. Ponad nami na drzewie mieszka Rosomak. On wciąż wędruje po świecie i posiada dużą wiedzę. Może on będzie mógł ci pomóc.

Chłopiec Z Blizną poszedł do lasu i szukał Rosomaka, ale nie mógł go nigdzie znaleźć. Usiadł więc by trochę odpocząć.

- *Ha! fu! ha! fu!* - zawołał. - Rosomaku, ulituj się nade mną, skończyło mi się pożywienie, a mokaśny już się zdarły. Teraz niechybnie umrę.

- Co się stało, mój bracie? - usłyszał głos i zaczął się rozglądać dokoła. Tuż obok siedziało jakieś zwierzę.

- Ta, którą chcę poślubić - zaczął Chłopiec Z Blizną - należy do Słońca. Próbuję znaleźć Jego dom, by poprosić o jej rękę.

- Ach! - zawołał Rosomak. - Wiem, gdzie Ono mieszka. Zaczekaj. Zbliży się noc, jutro pokażę ci drogę do wielkiej wody. Ono mieszka po drugiej stronie.

Wczesnym rankiem Rosomak pokazał mu szlak i Chłopiec Z Blizną podążył nim aż znalazł się nad brzegiem wody. Spojrzał na horyzont i jego serce omal przestało bić. Nigdy dotąd nie widział tak ogromnej wody. Drugiego brzegu nie było widać. Chłopiec Z Blizną usiadł. Skończyło mu się pożywienie, podały mokaśny, a serce miał złamane.

- Nie potrafię przebyć tej wielkiej wody - stwierdził ze smutkiem. - Nie mogę wrócić do ludzi. Tutaj, przy tej wodzie umrę.

Tak się jednak nie stało: i tam znajdowali się jego pomocnicy. Do brzegu podpłynęły dwa Łabędzie.

- Po co tu przyszedłeś? - spytały. - Co tutaj robisz? Stąd jest bardzo daleko do twoich ludzi.

- Przeszedłem tu umrzeć - odpowiedział. - Daleko stąd, w moim kraju, żyje piękna dziewczyna. Chcę ją poślubić, lecz ona należy do Słońca. Wyruszyłem więc, żeby Je znaleźć i prosić o jej rękę. Wędrowałem wiele dni. Skończyło mi się pożywienie. Nie mogę wrócić do wioski. Nie mogę też przejść tej wielkiej wody, więc chcę umrzeć.

- Nie będzie tak źle - odpowiedziały Łabędzie. - Po drugiej stronie wody znajduje się dom tej Boskiej Istoty. Siadź nam na grzbiety, a my cię tam zabierzemy.

Chłopiec Z Blizną powstał szybko. Po-

czuł się znowu silny. Dobiegł do wody, położył się na grzbiętach Łabędzi i popłynęli. Głęboka i czarna była ta straszna woda. Mieszkali tam nieznanymi ludzi i potężne zwierzęta, które często chwytali ludzi i topili. Łabędzie wiozły go bezpiecznie aż na drugi brzeg. Tutaj zaczął się szeroki, ubity trakt.

- *Kji!* Jesteś już blisko siedziby Słońca - powiedziały Łabędzie. - Idź tym szlakiem, a niebawem Je ujrysz.

IV

Chłopiec Z Blizną poszedł tym szlakiem i niebawem natrafił na kilka pięknych przedmiotów leżących na drodze. Była to koszuła wojenna, tarcza, łuk i strzały. Nigdy dotąd nie widział tak pięknej broni, ale nie dotykał jej. Obawiał się ostrożnie dokoła i powędrował dalej. Wkrótce spotkał młodzieńca - najprzystojniejszą osobę, jaką kiedykolwiek widział. Miał bardzo długie włosy i nosił na sobie ubranie zrobione z nieznanym mu skór. Jego mokaśny były obszyte różnokolorowymi piórkami. Młodzieniec rzekł do niego:

- Widziałeś broń leżącą na drodze?

- Tak, widziałem ją - odpowiedział Chłopiec Z Blizną.

- Dlaczego więc jej nie dotknąłeś?

- Myślałem, że ktoś ją tam zostawił, więc niczego nie ruszałem.

- Nie jesteś złodziejem - stwierdził młodzieniec. - Jak się nazywasz?

- Chłopiec Z Blizną.

- Dokąd idziesz?

- Do Słońca.

- Nazywam się *Apl-suahts* (Poranna Gwiazda) - rzekł młodzieniec. - Słońce jest moim ojcem. Chodź, zabiorę cię do naszej siedziby. Ojca nie ma teraz w domu, ale wróci wieczorem.

Po chwili dotarli do tipi. Było bardzo duże i ładne; namalowane były na nim osoblive, magiczne zwierzęta. Z tyłu na trójnogu wisiała dziwna broń i piękne ubrania Słońca. Chłopiec Z Blizną wstydił się tu wejść, ale Poranna Gwiazda rzekł:

- Nie obawiaj się, mój przyjacielu, cieszymy się, żeś przyszedł.

Weszli. Siedziała tam jedna osoba, *Koko-mi'et's* (Księżyc), żona Słońca, matka Gwiazdy Porannej. Mówiła do gościa



dobrotliwie i dała mu coś do jedzenia.

- Dlaczego odszedłeś tak daleko od swoich ludzi? - spytała.

Wtedy Chłopiec Z Blizną opowiedział jej o pięknej dziewczynie, którą chce poślubić.

- Ona należy do Słońca - powiedział. - Przeszedłem prosić o jej rękę.

Gdy nadeszła pora powrotu Słońca do domu, mama-Księżyc ukryła Chłopca Z Blizną pod stertą skórzanych okryć. Słońce, skoro tylko znalazło się u wejścia, zatrzymało się i powiedziało:

- Czuję zapach człowieka.

- Tak, ojciec - potwierdził Poranna Gwiazda. - Przeszedł dobry, młody człowiek, żeby cię zobaczyć. Wiem, że jest dobry, gdyż znalazł kilka moich rzeczy na ścieżce i nie ruszył ich.

Wtedy Chłopiec Z Blizną wychylił się spod skór, a Słońce weszło i usiadło.

- Cieszę się, że przyszedłeś do nas - powiedziało. - Zostań z nami tak długo, jak sobie życzysz. Mój syn czuje się czasami osamotniony; zostań jego przyjacielem.

Następnego dnia mama-Księżyc zawałała Chłopca Z Blizną przed namiot i rzekła do niego:

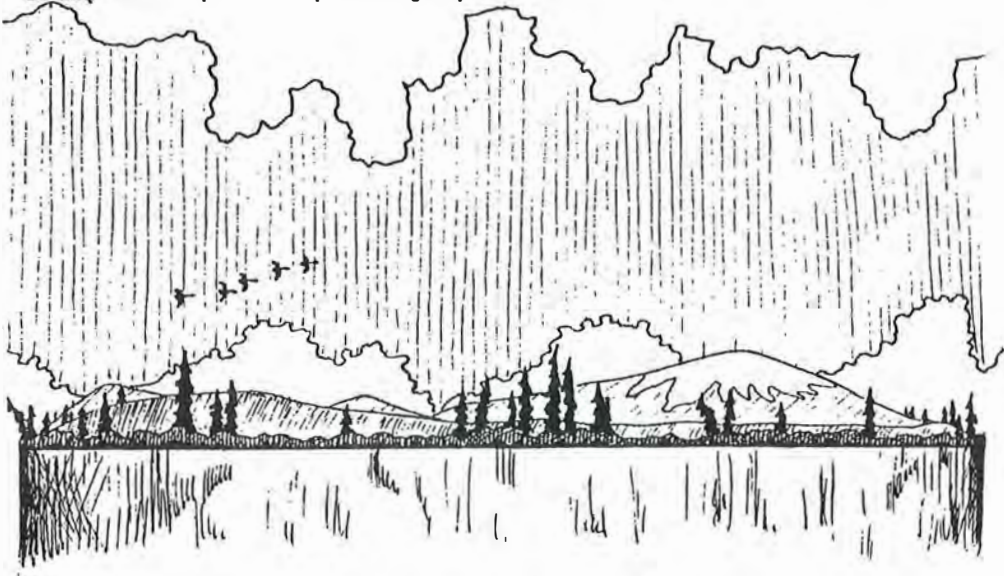
- Idź z Poranną Gwiazdą tam, gdzie sobie życzysz, lecz nigdy nie połujcie w pobliżu tej wielkiej wody; nie pozwól mu tam iść. To dom wielkich ptaków, które mają ostre dzioby i zabijają ludzi. Miałam wielu synów, ale ptaki zabiły ich wszystkich. Poranna Gwiazda jest jedynym, jaki mi pozostał.

Tak więc Chłopiec Z Blizną został tam dłużej czas i polował z Poranną Gwiazdą Pewnego dnia przyszedli w pobliże wody i zobaczyli duże ptaki.

- Chodź - zachęcał Poranna Gwiazda. - Chodźmy i zabijmy te ptaki.

- Nie, nie! - zawałał Chłopiec Z Blizną. - Nie możemy tam pójść. To są okropne ptaki. One nas zabijają.

Poranna Gwiazda jednak nie słuchał. Pobiegł ku wodzie, a Chłopiec Z Blizną za nim. Wiedział, że musi zabić ptaki, aby uratować chłopca. Jeśli nie, Słońce rozgniewa się i swą potęgą go zabije. Pobiegł naprzód stawiając im czoła. Ptaki szykowały się do walki. Chłopiec zabił je wszystkie swoją włócznią; żadnego nie oszczędził. Młodzieniec odciął im głowy i zaniósł do domu. Matka Porannej Gwiazdy ucieszyła się, gdy Jej opowiedzieli, co się stało i pokazali ptasie głowy.



Płakała i mówiła do gościa "mój synu". Kiedy Słońce wieczorem przyszło do domu, powiedziała mu o tym i Ono także było zadowolone.

- Mój synu - powiedziało do Chłopca Z Blizną - nigdy nie zapomnę, co uczyniłeś dla mnie tego dnia. Powiedz mi teraz, co ja mogę zrobić dla ciebie?

- *Ha! ju* - zaczął Chłopiec Z Blizną. - *Ha! ju*, ulituj się nade mną. Przyszedłem tutaj prosić Cię o rękę tamtej dziewczyny. Chcę ją poślubić. Pytałem ją o to i zgodziła się, ale powiedziała, że należy do Ciebie, a Ty nie pozwoliłeś jej wychodzić za mąż.

- To co powiedziałaś jest prawdą - zgodziło się Słońce. - Czuwałem codziennie, więc wiem o tym. Zatem teraz daję ci ją, jest twoja. Cieszę się, że była mądra. Wiem, że nigdy nie zrobiła nic złego. Słońce lituje się nad mądrymi kobietami. Żyją długo, jak również ich mężowie i dzieci. Wkrótce pójdziesz do domu. Pozwól, że coś ci powiem, bądź mądry i słuchaj: jestem jedynym panem. Wszystko jest moje. Stworzyłem świat: góry, równiny, rzeki i lasy. Stworzyłem ludzi i wszystkie zwierzęta. Oto dlaczego mówią, że jestem jedynym panem. Nigdy nie umrę. Prawda, zimą robię się stary i słaby, ale każdego lata znów się odmładzam.

Które ze wszystkich zwierząt jest najbystrzejsze? - ciągnęło dalej Słońce. - Kruk, ponieważ zawsze znajdzie pożywienie; nigdy nie głoduje. Które ze zwierząt ma najwięcej *natoje* (mocy Słońca, świętości)? Bizon. Ze wszystkich zwierząt lubię go najbardziej. Jest dla ludzi, daje im pożywienie i schronienie. Jaka część jego ciała jest święta? Język. Należy do mnie. Co jeszcze jest święte? Jagody. One także są moje. Chodź ze mną zobaczyć świat.

Zaprowadził Chłopca Z Blizną na krańcówkę nieba. Spojrzeli w dół i zobaczyli go. Był okrągły i płaski, a wszystko dookoła kończyło się pionowymi ścianami. Słońce rzekło:

- Gdy jakiś mężczyzna zachoruje lub znajdzie się w niebezpieczeństwie, jego żona może obiecać, że postawi tipi na moją cześć, jeśli on wyzdrowieje. Gdy okaże się czysta i wierna, to pomagam mu. Jeśli natomiast jest zła i kłamie, to ogarnia mnie wściekłość. Postawiasz takie tipi, niczym świat, okrągłe ze ścianami, ale najpierw zbudujesz szalasa z setki wierzbowych prętów. Będzie podobny do półkuli nieba. Połowę pomalujesz na czerwono - to będzie ja. Drugą połowę pomalujesz na czarno - to będzie noc.

Co jest lepsze: serce czy rozum? - mówiło dalej Słońce. - Rozum. Serce często kłamie, rozum nigdy.

Wtedy opowiedziało Chłopcu Z Blizną wszystko o budowaniu Magicznego Szalasu, a na koniec wtarło cudowny lek w jego twarz i blizna zniknęła. Następnie dało mu dwa krucze pióra mówiąc:

- One są znakiem dla dziewczyny, że daję ją tobie. Mąż kobiety, która stawia Magiczny Szalasa, musi je zawsze mieć przy sobie.

Młody człowiek był gotów do powrotu. Poranna Gwiazda i Słońce dali mu wiele pięknych prezentów. Księżyc płakała i całowała go powtarzając ciągle "mój synu". Wtedy Słońce pokazało mu krótszą drogę do domu. Była to Wilcza Droga (Mleczna). Chłopiec poszedł nią i niebawem znalazł się na ziemi.

v

Był bardzo upalny dzień. Wszystkie tipi miały podniesione skóry a ludzie siedzieli w cieniu. Wśród nich znajdował

się wódz, człowiek wspaniałomyślny. Przez cały czas ludzie przychodzili do jego tipi, żeby poczęstować się jadłem i wypalić fajkę. Wczesnym rankiem wódz ujrzał jakąś postać siedzącą na pniu nieopodal jego tipi. Była szczerle zawinięta w skórzane okrycie. Przez tipi wódz przewijało się nieustannie wiele osób, słońce dotarło do zenitu i zaczęło schodzić w dół, a owa postać siedziała bez ruchu. Gdy zaczęła zapadać noc, wódz zapytał:

- Dlaczego ten ktoś siedzi tak długo? Był wielki upał, a on ani razu nie jadł i nie pił. Może to ktoś obcy? Idźcie go zapytać.

Kilku młodych ludzi podeszło więc do niego i spytało:

- Dlaczego siedzisz w tak wielkim upale przez cały dzień? Przejdź do cienia tipi. Wódz zaprasza cię, byś przyjął jego poczęstunek.

Na te słowa postać poruszyła się i zrzuciła swe okrycie. Wszyscy stanęli jak wryci. Młodzieniec miał na sobie piękne ubranie. Jego łuk, tarcza i inna broń były misternie wykonane. Przypomnieli sobie tę twarz, chociaż blizna zniknęła. Pobiegli krzycząc:

- Chłopiec Z Blizną. Biedny chłopiec porzybył. Już nie będzie biedny. Blizna na jego twarzy zniknęła.

Wszyscy ludzie wybiegli, żeby go zobaczyć.

- Gdzie byłeś? - pytali. - Gdzie zdobyłeś te piękne przedmioty?

On milczał. Tam w tłumie stała młoda kobieta. Chłopiec zdjął dwa krucze pióra z głowy i podał jej, po czym przemówił:

- Szlak był bardzo długi i o mało bym umarł, ale dzięki pomocnikom znalazłem Jego siedzibę. Słońce jest zadowolone. Przeżyła ci te pióra, to znak.

Wielka była wówczas jej radość. Pobrali się i zbudowali pierwszy Magiczny Szalasa, zgodnie z tym, co powiedziało Słońce. Nigdy nie chorowali. Pewnego ranka, gdy byli już bardzo starzy, ich dzieci zawałały:

- Obudźcie się, wstańcie już i chodźcie jeść.

Oni się jednak nie poruszyli. Nocą w śnie, bez bólu, ich cienie wyruszyły na Piaskowe Wzgórze.

Przełożyła
Dzielną Sójka

JAMES WELCH

CZŁOWIEK Z WASZYNGTONU

Łatwo daliśmy za wygraną.
Stłoczeni na trudne początki
w zapomnianym kącie płaskiego świata
nie liczyliśmy na nic szczególnego,
tylko trochę chrustu i bizonich futer
żeby nam było ciepło. Przyjechał człowiek,
pszysadzisty karzeł z deszczówką w oczach,
i przemówił do nas. Obiecywał
że życie nic się nie zmieni,
że podpisze się traktaty i każdy -
mężczyzna, kobieta i dziecko - dostanie zastrzyk
przeciw światu, z którym nic nas nie łączyło,
świata dobrobytu, obietnic i dziwnej choroby.



TKACZE ZE SNOW COUNTY

Czas ci powiedzieć, że jest dobrze.
Rok minął jak ptaki odleciały na południe, wrócił
tylko jeden: cyraneczka o niebieskich skrzydłach,
cała dzika z wieścią o nowej miłości matki.

Wspomnij mnie przyjacielom. Powiedz
że na mój próg przychodzą umierać wilki:
zima przepędza je z mięsnych stron.
Powiedz to; powiedz, że ujrzałem

jak wasze pająki tkają nici
żeby omotać nimi ten dzień. Ich
sieci pełne są słów,
znaczenie roznosi wiatr.

PRZENOWA DO TYCH, KTÓRZY SIĘ LICZĄ

Nie wiecie, że robię z siebie durnia.
Moje pieśni są mądre, a dzwonki mogłyby łapać
śnieg po pustkowiach czarnych równin.
Świętujcie. Dni są ponure. Wezwijcie wiatry
by uderzyły w płataninę ulic i strzegły mej
przeszłości, w której głód i czterodniowe obżarstwo.

Nie odtrącajcie mnie. Zrobię sobie nową twarz,
żebyście wiedzieli, że już nie jestem dumny,
a moje imię jest zbyt słabe, żeby być kimś.
Jeśli skłamię i powiem, że macie we mnie przyjaciela,
zeszukanego z kruchych kości,
czy pomożecie mi być zwinnym i szumnym jak wiatr?

Planuję spalić bęben, przeprowadzić się
i ucywilizować włosy. Widzicie mój nos?
Rozbijam go i prostuję dla was. A zęby?
Wybijam je kamieniem. Wiem, że teraz mi pomożecie być kimś.
Więc przychodźcie do was, ze zwieszoną głową, z krwawiącym uśmiechem,
uszczęśliwiony waszymi śnieżnobiałymi rękami, moi przyjaciele.



Pewnego razu narzeczoną autora, nie-
indiańską nauczycielkę anglistyki na
Uniwersytecie Montany, zaproszono w ra-
mach wydziału na przyjęcie. Welch, który
również tam pracował, nie został zapro-
szony. W wierszu wyraża przekonanie, że
wyłączono go z powodu swego indiańskiego
pochodzenia. Czuje, że jego przeszłość,
w której "głód i czterodniowe obżarstwo"
czyni go kimś gorzszym w oczach białych
profesorów, zatem wygłasza mowę w swej
obronie i prosi o szansę dla siebie na
zmianę - spali bęben (symbol indiańsko-
ści), przytnie zbyt długie włosy i wypro-
stuje nos, aby ich śnieżnobiałe ręce
mogły go przywitać.

[Wg *Four American Indian Literary
Masters* by Alan R. Velie. University
of Oklahoma Press 1982, s. 84-85]

Wiersze przełożył Marek Maciołek

JAMES WELCH - ur. 1940 w Browning (Monta-
na), poeta i powieściopisarz (a wcześniej
strażak i robotnik leśny). Jeden z bar-
dziej znanych literatów indiańskich,
jest Czarną Stopą po ojcu i Gros Ventre
ze strony matki. Zadebiutował w 1971 to-
mikiem wierszy *Riding the Earthboy 40*
ale większą popularność przyniosły mu
jednak powieści: *Winter in the Blood*
(1974), *The Death of Jim Loney* (1979)
oraz *Fools Crow* (1986). Mieszka na
farmie niedaleko Missoula w Montanie.

"Widziałem książki o Indianach napi-
sane przez białych - powiedział James
Welch - ale tylko Indianin wie, kim
jest naprawdę. Jeśli dorastał w rezerwa-
cie, będzie rzecz jasna pisał o tym, co
zna. Można żywić nadzieję, że starczy mu
twardości i uczciwości na pokazanie swe-
go materiału bez uciekania się do kon-
wencji. Biali muszą się do niej dostoso-
wywać, Indianie mają to od urodzenia."

SIUKSIAKA

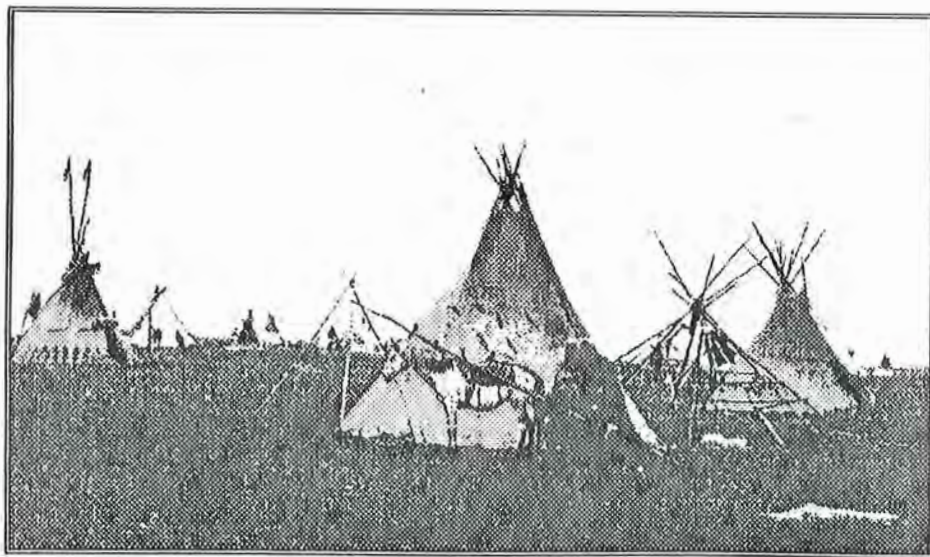
Czarne Stopy

W pewnym okresie nazwą „Blackfoot” (Czarne Stopy) określano stowarzyszone ze sobą, znane plemiona Ameryki Północnej. W równym stopniu co Siuksowie, Irokezi, Apacze czy Komancze zyskali oni sławę narodu wielkich wojowników przez długi czas skutecznie stawiających czoła inwazji białego człowieka. Już w 1841 roku sir George Simpson mówił o Czarnych Stopach jako o ludziach, którzy wydają się bardziej godni zainteresowania niż jakiegokolwiek inne tubylcze plemię Ameryki Północnej.”

Naród Czarnych Stóp składał się pierwotnie z trzech plemion: Blood,

Blackfoot i Piegan. Wszyscy mówili tym samym językiem i należeli do algonkińskiej rodziny językowej. Aż do roku 1861 do konfederacji należeli także, mówiący odmiennym językiem, Indianie Sarsi i Gros Ventre. Od tego roku Gros Ventre stali się zajadłymi wrogami Czarnych Stóp z powodu sprzeczki o kradzież koni.

Czarne Stopy samych siebie określali jako *Sayi-tapi*, czyli Ludzie Równin. Dawniejszymi określeniami *Nüsi-tapi* czyli Prawdziwi Ludzie zaczęto nazywać pewne osoby indiańskiego pochodzenia, niezależnie od ich przynależności plemienną.



Istnieje wiele mitów mówiących o pochodzeniu Czarnych Stóp. Jeden z bardziej znanych opowiada o grupie, która ze wszystkich stron została otoczona przez wrogów i dlatego postanowiła rozdzielić się na trzy obozy, których zadaniem miała być ochrona wspólnej granicy. Jedna z grup udała się na północ chroniąc pozostałych przed Indianami Kri, inna na południowo-zachód chroniąc wszystkich przed Siuksami, Assiniboinami i Wronami. Trzecia zaś pozostała na dawnym miejscu. W jakiś czas później mężczyzna z północnego plemienia przybył z wizytą do dwóch pozostałych. Po drodze przeszedł przez tereny spalone przez ogień. Kiedy dotarł do obozu południowo-wschodniego spytał się o wodza. Jednak każdy pytany odpowiadał, że to on jest wodzem, dlatego mężczyzna ten nazwał ich plemię *Akainai* (Wiele Wodzów). Nazwa ta jest rodzimym określeniem grupy Blood i została później skrócona do *Kainai*.

W rewanzu ludzie ci, ze względu na pozemiale mokasyny podróżnego, nazwali jego plemię *Sik-sika* (Czarne Stopy).

Gdy mężczyzna przybył do trzeciego obozu poznał kobietę, nie umiejącą garbować. Na skórach, które jej mężczyzna nosił jako okrycie, gnily nadal resztki mięsa. Nazwał więc to plemię *Apikuni* (Skubane Skóry). Później nazwa ta została zniekształcona do Piegan.

Według pierwszych badaczy, Czarne Stopy przybywali na swe ziemie z rejonu lasów, osiedlając się na środkowych terenach dzisiejszej kanadyjskiej prowincji Saskatchewan. Mimo to spotykający się z nimi pierwsi biali nie zauważyli u nich żadnych elementów kultury leśnej. Byli wtedy Indianami Równin, którzy podążali za bizonami i żyli z myślistwa. Gdyby byli kiedyś plemieniem leśnym, musiałoby to zostać utrwalone w pamięci wielu z nich. Ich

wielki wódz Wronia Stopa (Crowfoot) nie sobie na ten temat nie przypominał. W rozmowach z gośćmi był święcie przekonany, że jego ludzie zawsze żyli w tej części kraju, w której znajdują się obecnie. Całkowicie podważał teorię, że przybyli ze wschodu.

Do połowy XVIII wieku Czarne Stopy nie widzieli białego człowieka. W XVII wieku na brzeg zatoki Hudsona przybyli pierwsi handlarze i zaczęli wymieniać metalowe przedmioty, szklane koraliki i inne rzeczy na skóry z lokalnymi Indianami. Dobra te przechodziły z plemienia do plemienia; trafiły również na Równiny. Czarne Stopy kupowali od innych plemion metalowe noże, sickiery i garniki, płacąc za nie olbrzymie ceny. Podróżnik David Thompson opisał reakcję Czarnych Stóp, gdy po raz pierwszy użyto pistoletów przeciwko niespodziewajcym się tego Szoszonom.

„Wódz wojenny interesował się celnością strzałów z naszych karabinów - mówił Thompson. Kazaliśmy mu ustawić tarcze na płaskim terenie w odległości 60 jardów (około 55 m) od nas. Obserwowali nas naciągając swe gotowe do strzału luki. Każdy z nas skorzystał ze sposobności oddania strzału rozbijając przy tym tarcze lub je łamiąc, a każdy strzał był celny.”

Wydarzenie to miało miejsce prawdopodobnie w okresie między 1700 a 1725 rokiem, kiedy to Czarne Stopy weszli po raz pierwszy w posiadanie koni. David Thompson zapisał też kilka uwag samych Czarnych Stóp. Opowiadali, że „nasi wrogowie, Indianie Węże (Szoszoni) i ich sprzymierzeńcy, posiadają *Misstutin* (Wielkie Psy czyli konie), na których jeżdżą tak szybko jak pędzą jelenie i przy pomocy których rozbili Indian Peegen (Piegan), waląc ich po głowach swymi kamiennymi *pukamoggan* (maczugami).”

Gdy w 1754 roku Anthony Henday spotkał Czarne Stopy, byli oni już

świetnymi jeźdźcami dobrze zapatrzonymi w karabiny, kotły i noże. Hendayowi nie udało się namówić ich na podróż do placówek handlowych nad Zatoką Hudsona. Musieliby przebyć wiele mil przez wrogie tereny. Jednakże do końca XVIII wieku towarzystwa handlowe przesunęły się w głąb łąd i prowadzili już bezpośredni handel z plemionami Równin. Czarne Stopy nie byli traperami, mimo to mogli handlować z białymi jedynie mięsem, skórami bizonów i koźmi.

Z powodu niedostatecznej ilości futer, które można było zdobyć na myśliwskich terenach Czarnych Stóp, pierwsi handlarze nie mieli powodów, aby na ich terenach wznosić forty. Wzdłuż rzeki Saskatchewan powstały posterunki takie jak Fort George, Edmonton House czy Rocky Mountain House, które mogły handlować z plemionami Równin. Były to jednak miejsca oddalone od terenów Czarnych Stóp. Z kolei brak zbytu na skóry nie skłaniał plemienia do szybkiej zmiany sposobu życia; stania się traperami i myśliwymi handlującymi z kompaniami, jak to miało miejsce z plemionami północnymi.

Dawniej, zanim dzięki Europejczykom poznano konia Czarne Stopy podróżowali w grupach, wykorzystując psy do ciągnięcia włók (travois). Jednak wraz ze zdobyciem koni zaczęto z powodzeniem wykorzystywać je do ścigania bizonów. Dosiadano ich także podczas potyczek z wrogami. Zdobywana dzięki koniom żywność pozwoliła im poświęcić więcej czasu działalności w stowarzyszeniach religijnych, sztuce dekoracyjnej i prowadzeniu wojen. Stworzyła również możliwość zbierania się w większe grupy wzmacniające poczucie wspólnej więzi. Dzięki temu rozwinął się u Czarnych Stóp skomplikowany system stowarzyszeń skupionych wokół bizona oraz możliwości szybkiego przemieszczania się dzięki koniom.

Mniej więcej w tym czasie Czarne Stopy stosowali trzy metody polowania na bizona. Najczęściej korzystano z piskum czyli bizonich zeskoków. Sposób ten polegał na zapędzeniu stada w miejsce gdzie był stromy uskoki, z którego bizona spadały i jeśli nie zginęły od razu, dobijano je zza koralu zbudowanego na dnice doliny. Innym sposobem polowania było okrążenie. Myśliwi wtedy podkradali się do małego stada i zakluwali najlepsze sztuki, podczas gdy pozostałe bizona krążyły wokół. Trzecią, jednocześnie najbardziej podniecającą, metodą była pogoń. Mężczyźni na swych najszybszych koniach ścigali uciekające stado i strzelali do zwierząt z jak najbliższej odległości.

Podstawą bytu Czarnych Stóp był bizon. Jego mięso dostarczało pożywienia, skóra używana była na odzież i pokrycia tipi, z kości robiono rękojeści, igły i inne narzędzia, z rogów łyżki, surową skórę używano do wyrobu toreb. Wykorzystywano nawet ogon, jako oganiacz od much lub kropielnicę, do przyskiania wodą na gorące kamienie w szalacie pary. Nie ma się więc czemu dziwić, że Czarne Stopy uważali bizona za święte zwierzę podarowane im przez Słońce. W wielu religijnych ceremoniach składano bizonom specjalne dary. Za każdym razem, gdy zabito bizona-albinosa, jego skórę składano w ofierze Słońcu. Kiedy w latach 1880-81 łowcy skór wyrzynali olbrzymie stada tych zwierząt i nikły one w oczach, wielu starych ludzi uważało, że bizona zostały schowane przez Słońce w dziurze w ziemi, ponieważ obraziło się Ono na Czarne Stopy, którzy zapomnieli o dawnej drodze życia.

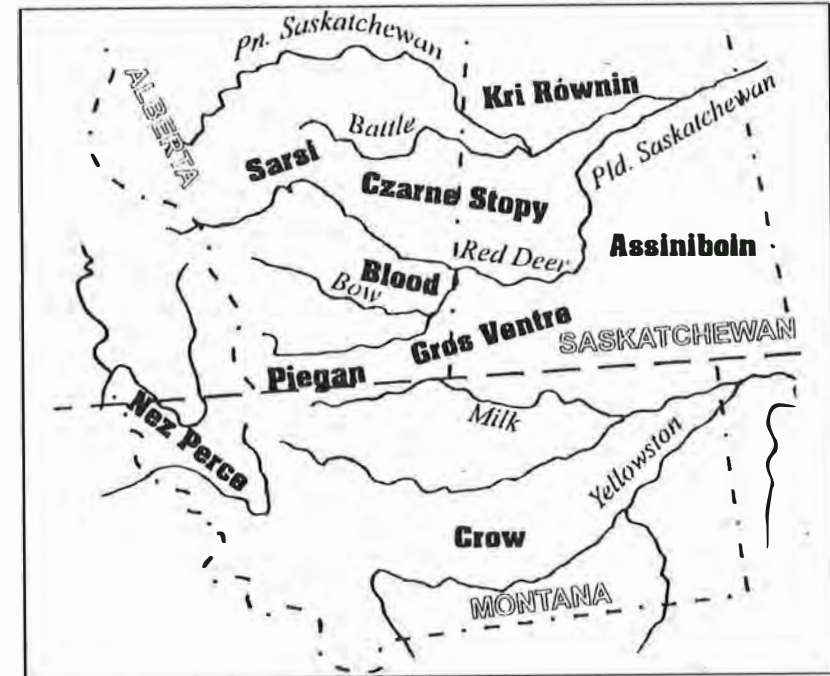
Wkrótce po tym jak Czarne Stopy weszli w posiadanie karabinów i koni, stali się bardziej odważnym narodem i postanowili odzyskać swe dawne tereny myśliwskie. Do tej pory na ich tereny wciąż wkraczali z północy i wschodu lepiej uzbrojeni Kri i Assiniboin. Od

zachodu regularne wyprawy na ich tereny w poszukiwaniu bizonów robili Indianie Kutenai i inne górskie plemiona. Czarne Stopy musieli być ciągle gotowi do obrony swoich ziem.

W czasie, gdy przybyli tu pierwsi Brytyjcy handlarze, konfederacja Czarnych Stóp kontrolowała wielki obszar dochodzący na zachodzie do Gór

między rzekami Red Deer i Butte na wschód od jeziora Beaverhills byli Czarne Stopy i Indianie Sarsi; na południe od Blood i na wschód od Peigan żyli Gros Ventre.

Jednak w ciągu kilku lat wszystkie te plemiona pod wpływem ciągłego naporu i ataków Indian Kri i Assiniboin przemieściły się daleko na południe. W



Mapa 1. Przybliżone rozmieszczenie głównych plemion.

Skalistych, na północy sięgający poza rzekę Północną Saskatchewan, na południu poza rzekę Missouri, a na wschodzie do dzisiejszej granicy między kanadyjskimi prowincjami Alberta i Saskatchewan. Handlarze futrami w 1815 roku donosili, że Piegan kontrolowali całe myśliwskie tereny rozciągające się na 100 mil od gór; Blood znajdowali się między rzekami Red Deer i Bow; na północ od nich

połowie XIX wieku Piegan rozszerzyli swój obszar wchodząc na tereny dzisiejszej Montany, lecz wycofali się na południe od rzeki Bow. Blood znajdowali się poniżej wzgórz Lethbridge - Sweetgrass, a Czarne Stopy po środku, poniżej brodu na rzece Bow zwanego Prześciem Czarnych Stóp; Gros Ventre znajdowali się na obszarze wzgórz Cypress i na południe od nich, a

Sarsi zajmowali tereny wzdłuż rzeki Red Deer.

Plemiona te jednakże nie opuściły całkowicie północnych terenów jeszcze do 1841 roku, kiedy to George Simpson zaznaczył, że rzeka Saskatchewan tworzy linię dzielącą tereny Czarnych Stóp i Kri. Simpson podróżował wtedy między Fortem Pitt a Edmonton.

Mimo że południowa część ich terenów myśliwskich rozciągała się na obszarze dzisiejszych Stanów Zjednoczonych, Czarne Stopy niezbyt chętnie spoglądali na Amerykanów. Stosunek taki utrzymywał się już od 1806 roku, kiedy to ekspedycja Lewisa i Clarka miała starcie z Indianami Piegan. Sytuację tą pogarszał też fakt stosowania przez Amerykanów odmiennych od Brytyjczyków metod zdobywania futer. Na północy angielscy handlarze zakładali forty i zachęcali Indian do przynoszenia futer i skór i prowadzenia z nimi handlu wymiennego. Na południu zaś amerykańscy ludzie gór i traperzy sami zdobywali futra, unikając jakiegokolwiek handlu z Indianami. Czarne Stopy uważali tych ludzi za złodziei i traktowali ich jak wrogów.

Sytuacja taka trwała do 1831 roku. Wtedy to Amerykańska Kompania Futrzana zawarła pokój z plemionami Czarnych Stóp i wniosła nad górą Missouri Fort Piegan. Od tej pory wśród Czarnych Stóp zaczął się gwałtownie rozwijać handel z Amerykanami.

Populacja plemion Czarnych Stóp kształtowała się różnie w poszczególnych latach, niekiedy bardzo spadając ze względu na tragiczne w skutkach zarazy, epidemie ospy i inne choroby. W poniższej tabeli umieszczono dane zebrane przez Alexandra Henry'ego w 1809 roku, handlarza z fortu Edmonton w 1823 roku, George'a Catlina w 1832 roku, Geoga Simpsona w 1841 roku, Jamesa Poty'ego w 1854 roku i generała Stanów Zjednoczonych Alfreda Sully'ego w roku 1870.

Rok	Czarne Stopy	Blood	Piegan	Przybliżona liczba osób
1809	200	100	350	5200
1823	500	300	550	10800
1832	450	450	750	13200
1841	300	250	350	7200
1854	290	270	290	6800
1870	226	212	330	6144

Tab. Cyfry podają ilość zamieszkiwanych tipi. Dokładniejszą liczbę osób określić można przyjmując, że w jednym tipi żyło osiem osób. Widać tu wyraźny spadek liczebności plemion jakimi miał miejsce po epidemii ospy w 1838 roku.

Pierwsze wielkie zmiany w stosunkach między Czarnymi Stopami a białymi powstały w 1855 roku, kiedy podpisano traktat z rządem amerykańskim. W tym czasie Stany Zjednoczone rozważały możliwość budowy drogi kolejowej na zachód. Mocą powyższego traktatu plemiona oddały większą część Montany w zamian za wyłączność polowania na pozostawionym im terenie, wypłacanie im rocznej renty i inne drobne korzyści. Traktat podpisało czternastu wodzów Indian Piegan, ośmiu Blood i czterech Czarnych Stóp. Wielu wodzów Blood i Czarnych Stóp nie było przy tym obecnych, gdyż mieszkali prawie wyłącznie w brytyjskiej części swych terenów i nie byli zainteresowani zawieraniem traktatu z Amerykanami.

W kilka lat po tym wydarzeniu przez Montanę zaczęli wędrować biali ludzie. Pierwszymi byli zwolnieni z opłat handlarze i misjonarze. Odkrycie złota w górach spowodowało powódź poszukiwaczy złota, kupców i hodowców.

Zwiększyła się liczba starć między Indianami a białymi, która w 1866 roku osiągnęła taki poziom, że zaniepokojeni tym mieszkańcy Montany nazwali to „wojną Czarnych Stóp”. Wydarzenia te zakończyły się kilka lat później. Kawaleria Stanów Zjednoczonych

dowodzona przez majora Eugene'a Bekera miała zaatakować spokojny obóz Górskiego Wodza (Mountain Chief), w którym spodziewała się znaleźć wielu mężczyzn posądzonych o morderstwa. Jednak przez pomyłkę zaatakowano obóz Ciężkiego Biegacza (Heavy Runnera) zabijając w nim 173 mężczyzn, kobiety i dzieci. Wydarzenie to miało miejsce w 1870 roku i przeszło do historii jako „masakra Bekera”.

Po tym wydarzeniu wielu Indian przekroczyło granicę udając się do Kanady w obawie przed Stanami Zjednoczonymi dążącymi do zniszczenia całego narodu Czarnych Stóp. Ale i tam dosięgło ich zło. Jeszcze w 1869 roku zwolnieni z opłat handlarze odkryli, że mogą na południu Alberty i Saskatchewan sprzedawać whisky bez obaw, że zostaną zaarrestowani przez władze Kanady czy Stanów Zjednoczonych. Już pierwszej zimy 1869/70 wzniesiono koło dzisiejszego miasta Lethbridge fort przynoszący tak duże dochody, że wkrótce zainwestowano w cały region. W takich miejscach jak Fort Standoff, Fort Slide-Out, Fort Whoop-Up czy Farewell's Post sprzedawano przedewszystkim whisky.

Demoralizacja plemion nastąpiła bardzo szybko. Jednej tylko zimy, właśnie na powyższych placówkach, zabitych zostało w pijackich awanturach siedemdziesięciu Indian Blood. Ojciec Scollen tak opisał tę sytuację: „woda ognista płynęła obficie, jak rwący strumień w Górach Skalistych. Setki ubogich Indian padło ofiarą białego człowieka wyrywającego im pieniądze, inni padli od trucizn, a jeszcze inni zmarli na śmierć lub w stanie oszaleńczenia zostali pobici przez amerykańskich awanturników.”

W bardzo krótkim czasie plemiona Czarnych Stóp zostały doprowadzone do nędzy i ubóstwa. Z pomocą przybył im rząd kanadyjski, przysyłając na zachód w 1874 roku uowopowstałą Północno-Zachodnią Policję Konną (North-West

Mounted Police), która zmusiła do ucieczki nielegalnych handlarzy. Czarne Stopy zaczęły odbudowywać swe rozbite życie, uzupełnili stada koni, a na koniec odzyskali swój status panów Równin.

Do zawarcia pokoju z władzami amerykańskimi zmusił Indian napływ osadników. Tym razem napływ taki rozpoczęli osadnicy kanadyjscy, wdzierając się na myśliwskie tereny Czarnych Stóp. Pierwsze ich drobne osady powstały wokół fortów wznoszonych przez Północno-Zachodnią Policję Konną. W niedługim czasie powstało tam kilka ranch i farm. Czarne Stopy zaalarmowani w 1876 roku tymi poczynaniami odwołali się w tej sprawie do rządu i rok później zawarto traktat.

W wyniku tej umowy Czarne Stopy oddali rządowi kanadyjskiemu całą południową Albertę w zamian za rezerwat zapewniający pięciu osobom obszar jednej mili kwadratowej. Zapewnili też sobie roczną rentę oraz inne drobne korzyści.

Naród Czarnych Stóp został w tym czasie skutecznie podzielony na dwie części. Południowi Piegan żyli na terenie Stanów Zjednoczonych, uważając za swój dom rezerwat położony nad rzekami Birch i Two Medicine, podczas gdy północni Piegan, Czarne Stopy i Blood żyli po stronie kanadyjskiej. Do roku 1880, kiedy prawie doszczętnie wybito bizony, Czarne Stopy zasiedlali głównie tereny w pobliżu Przejścia Czarnych Stóp, niecałe 100 kilometrów na zachód od obecnego miasta Calgary; Blood żyli pomiędzy rzekami St. Mary i Belly, na południe od Fortu Macleoda; a północni Piegan nad rzeką Oldman, 24 km na zachód od Fortu Macleoda.

Od owego czasu życie wschodniego plemienia ustabilizowało się. Niekiedy zależało to od urodzaju plodów rolnych, a niekiedy od ich przywódców i przychylności Departamentu Indian oraz dobrosąsiedzkich stosunków z mieszkającymi obok hodowcami i

farmerami. Do roku 1880 Indianie Blood, Piegan i Czarne Stopy posiadali wspólną historię i wspólne dziedzictwo tego samego okresu koczowniczego. Od tego roku ich historia potoczyła się odmiennymi torami.

Na przestrzeni dziejów Czarne Stopy byli najbardziej znanym i szanowanym plemieniem Kanady. Jako najbardziej na północ wysunięte jedno z trzech tworzących naród plemion Czarnych Stóp, byli pierwszymi, których poznali handlarze futrami i prawdopodobnie dlatego cały naród został nazwany ich imieniem. Po osiedleniu się na terenie rezerwatu, tuż obok nich przebiegała linia kolei żelaznej Canadian Pacific, co też stało się przyczyną do rozpowszechnienia się nazwy tego plemienia wśród kanadyjskich podróżników.

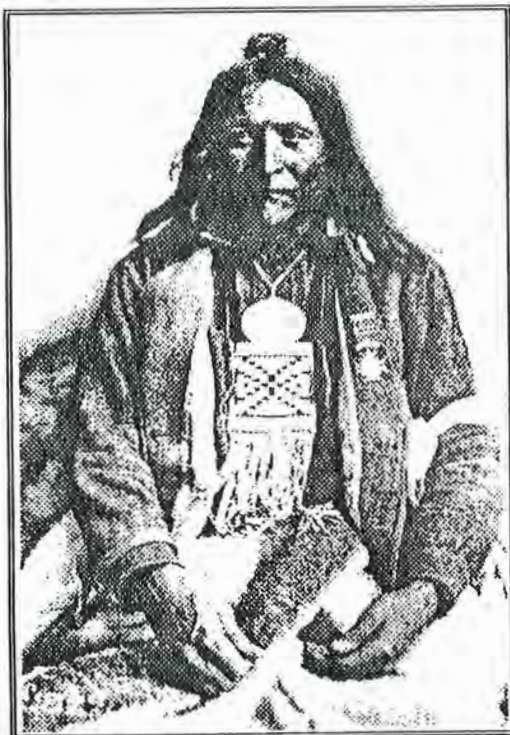
Najprawdopodobniej jednak rozgłos swemu plemieniu przyniósł ich wielki przywódca Wronia Stopa. Dominująca rola w podpisaniu traktatu przez Czarne Stopy w 1877 roku oraz decyzja, podjęta przez tego szanowanego dyplomatę i mówcę, o nieprzystąpieniu do metyskiej rebelii Louisa Riela w 1885 roku, przyniosła jemu i jego plemieniu rozgłos na całym świecie.

Kiedy Czarne Stopy wraz z Indianami Blood, Piegan, Sarsi i Assiniboin podpisali w 1877 roku traktat z rządem Kanady, nadal kontrolowali obszar południowej Alberty. Bizonów, było jeszcze pod dostatkiem i Czarne Stopy cieszyli się niezależnością i wolnością.

Niektórzy wodzowie byli przeciwni zawieraniu traktatów, uważając, że wszelkie układy z białym człowiekiem kończą się nieszczęściem. Ostrzegali ich też przed tym sąsiedzi z Montany, którzy w 1855 roku podpisali traktat złamany później

przez Amerykanów. W dodatku wiedzieli doskonale, że kiedy tylko zawierano jakiś układ, to na ziemi poddającego się szczepu natychmiast wdzierały się wrogie plemiona i biali ludzie.

Darząc jednak zaufaniem Północno-Zachodnią Policję Konną większość plemion postanowiła zawrzeć takowe układy. Wronia Stopa jasno określił swoje stanowisko: „Dlaczego do kraju, w którym chcemy żyć, nie mogłaby przybyć Policja? Zły człowiek i whiskey zabijają nas tak szybko, że niewielu z nas żyjących dzisiaj pozostanie. Policja chroni nas tak, jak pióra chronią ptaka od chłodu zimy.”



Wronia Stopa (Crowfoot)

Trzema wodzami, którzy podpisali traktat w imieniu Czarnych Stóp byli: Wronia Stopa (Crowfoot), Stare Słońce (Old Sun) i jego młodszy brat, Ciężka Tarcza (Heavy Shield). Spośród mniejszych wodzów zatwierdzili go: Żebra Orła (Eagle Ribs), Kiepski Róg (Low Horn), Niedźwiedzia Tarcza (Bear Shield), Samiec Losia (Bull Elk), Duże Pióro (Big Plume), Cielęca Narzuta (Calf Robe), Biały Orzeł (White Eagle), Młode Lasicy (Weasel Calf), Noszący Królika (Rabbit Carrier), Orzeł (Eagle) i Białe Młode Orła (Eagle White Calf). Kilka dni później podpis na traktacie złożył Trzy Byki (Three Bulls), przybrany brat Wroniej Stopy. Po zawarciu umowy wypłacono roczną rentę, którą otrzymało tylko tysiąc pięćset piętnastu członków plemienia Czarnych Stóp, ponieważ wiele rodzin znajdowało się wówczas na polowaniu. W 1878 roku rentę otrzymało tysiąc dziewięćset czterdziestu sześciu Czarnych Stóp, a w roku 1879 dwa tysiące dwustu czterdziestu.

Wodzowie zdecydowali, że ich rezerwat ma się znajdować wokół rzeki Bow, a w jego centrum miało spocząć Przejście Czarnych Stóp, leżące na południe od dzisiejszej miejscowości Cluny. Początkowo rezerwat ten Czarne Stopy dzielili wspólnie z Blood i Sarsi, lecz oba te plemiona przeniosły się później znacznie dalej.

Pierwsza inspekcja na terenie rezerwatu Czarnych Stóp miała miejsce w 1878 roku, a kolejna w roku 1883, kiedy odebrano plemieniu 470 mil kwadratowych ziemi. Zwracano szczególną uwagę na miejsce koło Przejścia Czarnych Stóp, w którym znajdowały się bogate pokłady węgla. Rząd upatrywał w nich źródło przyszłych dochodów plemienia.

Czarne Stopy byli jednak zainteresowani wyłącznie polowaniem na bizona. Ten włochaty olbrzym od czasów niezliczonych pokoleń był głównym źródłem dobrobytu dla

plemienia. W czasie, gdy podpisywano traktat, rząd zapewniał, że bizon będzie królował wśród plemienia co najmniej jeszcze przez dziesięć lat. Jednak, jak przepowiedali niektórzy wodzowie, przyszło do nich zło. W trzy miesiące po podpisaniu traktatu zmarło trzech przywódców. Jak podaje ojciec Scollen, zgony te „bardzo ich zaniepokoiły i widzieli w tym bardzo złe omen dla swej przyszłości.”

Na dodatek podczas zimy 1877/78 pożar na równinach wokół myśliwskich terenów Czarnych Stóp przepędził stada bizonów daleko na wschód i południe. Już latem niektórzy ludzie zaczęli przymierać głodem.

Daremne wysiłki utrzymania niezależności, zmusiły plemię do pójścia za stadami bizonów do Montany. Przebywali tam od 1879 roku, aż do wiosny roku 1881, gdy powrócili do Kanady. W roku tym bizona zostały całkowicie wybite i Czarne Stopy zaczęły wymierać z głodu. Niektórzy z nich winą za wyniszczenie bizonów obarczyli fakt zawarcia traktatu, inni mówili, że to Duch Słońca otworzył dziurę w ziemi i wprowadził do niej wszystkie bizona, ponieważ pogniwał się na Indian za wyrażanie zgody na przyjsie białego człowieka.

Wraz z bizonami zniknął dawny sposób życia Czarnych Stóp. Nie pozostało im nic innego, jak tylko przejść do nowozałożonego rezerwatu i przyjąć wydzielone przez rząd przydziały mąki i wołowiny.

Kolejne lata były dla Czarnych Stóp przytłaczające i bolesne. Małe domy zbudowane z pni drzew zaczynały zastępować tipi. Wodzowie zachęcali do rozpoczęcia nowego życia w roli farmerów i hodowców. Nie wykazywano jednak specjalnego entuzjazmu do tego dziwnego i obcego rodzaju pracy, choć wzdłuż rzeki Bow stopniowo zwiększała się uprawa ziemniaków, buraków i zboża.

W 1882 roku Stare Słońce zachęcał ludzi do przeprowadzenia się w górę rzeki na nowe obozowisko, gdzie dla grupy postawiono domy. Teren ten stał się w niedługim czasie znany jako Północny Obóz. Obóz Południowy znajdował się koło Przejścia Czarnych Stóp.

W następnym roku wzdłuż północnej granicy rezerwatu zbudowano linię kolejową Canadian Pacific i wzniesiono stacje Cluny i Gleichen. Mimo, że Czarne Stopy zgodzili się na budowę linii kolejowej, która w pewnym stopniu była pomocna w dostarczaniu im żywności, stała się ona źródłem wielu konfliktów. Pociągi wyrzucały ze swych garnko- i dzwonopodobnych kominów snopy iskier, które opadały na wielkie polacie preryjnej trawy. Na dodatek z przejeżdżających pociągów zabijano indiańskie konie wędrujące znaną sobie drogą.

Jednak, mimo to, Czarne Stopy próbowali podporządkować się nowemu trybowi życia. Susza i wczesne przymrozki atakowały ich niewielkie ogrody. Zbiory ziemniaków i jarzyn były kiepskie. Dla przykładu, w 1884 roku rezerwat Czarnych Stóp posiadał 94 ha ziemi uprawnej, z której Indianie zebrali 210.816 litrów ziemniaków, 94.240 l. buraków, 8.640 l. cebuli, 3.492 l. marchwi i 3.204 l. grochu. Zasiałi też 26,5 ha pszenicy i 8,8 ha owsa, ale nie odnotowano wielkości zbiorów tych zbóż. Jednak agent indiański donosił, że „owies jest jedynym udającym się artykułem rolniczym na ich terenie”.

Gdy tylko Czarne Stopy zaczęli zbierać wyhodowane przez siebie zbiory, przyznawane im dotychczas raczej wolviny i mąki obcięto o połowę.

Kiedy w 1885 roku wybuchło powstanie Louisa Riela obawiano się, że Czarne Stopy przyłączą się do niego. Pewien znany misjonarz, ojciec Lacombe, komentował to z niepokojem: „Od chwili rozpoczęcia wojny ci, którzy znają charakter Indian, zauważyli już

wcześniej, że byli oni zadowoleni, gdy mówiono o pobiciu białych, a gdy było przeciwnie, byli zmartwieni i rozczarowani. Wronia Stopa przyjmował do swego obozu wiele rodzin Indian Kri, żywiąc ich przez całe miesiące i był bardzo niezadowolony, gdy namawialiśmy go do wydalenia Kri z jego rezerwatu.”

Na przystąpienie do powstania Wronia Stopa jednak się nie zdecydował. W ostatnich latach miał okazję przebywać w mieście Winnipeg i zdawał sobie sprawę z tego, jak wielu żołnierzy można wystawić przeciw Indianom. Więc aby uniknąć zagłady swych ludzi, zdecydował się pozostać na uboczu.

Situmienie powstania Riela rozwiła wszelkie nadzieje na niezależność Indian. W kolejnych latach Czarne Stopy stali się doświadczonymi farmerami i ogrodnikami. Zapewniono im niewielkie stado bydła rogatego, by rozwinęli przemysł hodowlany. W roku 1889 podjęto kroki zmierzające do otwarcia pierwszej kopalni węgla. Nastąpiło to dopiero w 1895 roku.

Śmierć Wroniej Stopy w 1890 roku zakończyła okres świetności Czarnych Stóp. Co prawda zastąpili go tacy mężowie, jak Trzy Byki (Three Bulls), Biegnący Królik (Running Rabbit), Żółty Koń (Yellow Horse) czy Kaczy Przywódca (Duck Chief), ale żaden z nich nie osiągnął ogólnonarodowego uznania, tak jak Wronia Stopa.

Do 1900 roku głównym źródłem dochodu Czarnych Stóp było rolnictwo, ogrodnictwo, hodowla bydła, sianokosy i kopalnia węgla. Otwarto też kilka prywatnych kopalni, z których z powodzeniem sprzedawano węgiel pobliskim farmerom i wioskom.

W tym samym czasie, począwszy od roku 1883, anglikanie i katolicy otwierali na terenie rezerwatu misje zaczynając od Obozu Północnego, a później przechodząc do Obozu Południowego. W latach

osiemdziesiątych obydwu wyznania pootwieraly tam male dzienne szkoły, a od roku 1889 anglikanie prowadzili Dom Dla Dziewcząt. Absolwenci tych szkół zmieniali swoje odwieczne tradycje, a ich starsi koleodzy wysyłani byli na dalszą naukę do szkół zawodowych w Dumbow i Calgary.

W roku 1910 w życiu Czarnych Stóp zaszły zasadnicze zmiany. Sprzedano ziemię na której miał powstać kanał nawadniający rezerwat. Sprzedano też ziemię pod linię kolejową do Carseland.

Mniej więcej w tym czasie cały Zachód zalany został falą myśliwych i osadników. W ręce osadników przechodziły najlepsze ziemie. Stawiali swe domy i zagospodarowywali pola uprawne. Ludzie ci coraz częściej spoglądali na rozległe polacie dobrej ziemi różnych rezerwatów, a ponieważ w wyniku słabej odporności na choroby zmniejszyła się znacznie liczba Indian, wielu białych twierdziło, że powinni odsprzedać osadnikom nadmiar należnej im ziemi.

Czarne Stopy zgodzili się na odstąpienie prawie połowy swego rezerwatu. W 1912 roku sprzedali 24.308 ha ziemi za 941.872 dolary. Kolejnej sprzedaży dokonano w 1918 roku: za 22.130 ha otrzymali 1.276.190 dolarów. Sprzedano także kilka innych, mniejszych kawalków ziemi. Dzięki temu Czarne Stopy stali się bogatym plemieniem Kanady i osiągnęli niespotykany w innych rezerwach dobrobyt. Drewniane domy wyposażano w piece, krzesła, łózka i pościel, łączono z różnymi przybudówkami i stajniami. Na terenie rezerwatu wybudowano utwardzone drogi. Posiadali także parową lokomotywę. Rolnicy zaopatrywali się w dobry sprzęt gospodarczy i pobudowali spichlerze, udzielono im także pożyczek. Część funduszy zużyto na budowę szpitala. Plemię otrzymywało co tydzień racje żywnościowe i wypłacano jego członkom roczną rentę.

Szczególny nacisk kładziono na agrokulturę, która w ciągu kilku ostatnich lat bardzo się rozrosła i wielu z Czarnych Stóp osiągnęło sukcesy jako rolnicy i farmerzy. W 1939 roku na terenie rezerwatu znajdowało się 4.682 ha uprawnej ziemi, a stu czteremastu indiańskich hodowców było właścicielami 3.000 sztuk bydła rogatego. 2.000 ha oddano pod nawadnianie. Do tego wszystkiego wielkie polacie ziemi dzierżawiono.

Indianie nadal zarabiali, pieniądze dzięki sianokosom i wydobyciu węgla. Górnictwo stało się opłacalnym interesem, zwłaszcza po przeprowadzonej w 1931 roku reorganizacji metod produkcji. Nowoczesne wyposażenie pozwoliło na osiągnięcie wydobycia sięgającego 10.000 ton rocznie i zapewniło sezonowy dochód dla pięćdziesięciu rodzin. Jednak po II wojnie światowej zastosowanie gazu ziemnego i wzrost konkurencji na innych obszarach ograniczyło stopniowo ich rynek zbytu i doprowadziło w końcu do zamknięcia kopalni.

II wojna światowa zmieniła również całkowicie ekonomikę Czarnych Stóp. Chociaż dochód płynący z dzierżawy ziemi dawał plemieniu możliwość utrzymania funduszy w wysokości ponad 3 mln dolarów, zwiększające się w błyskawicznym tempie koszty życia szybko pochłonęły tą sumę. W wyniku poprawy opieki zdrowotnej podwoiła się liczebność plemienia z ośmiuset w 1939 roku do tysiąca sześciuset osób w roku 1958. Uszczupliło to znacznie fundusze plemienia, obniżając osiągnięty poziom dobrobytu.

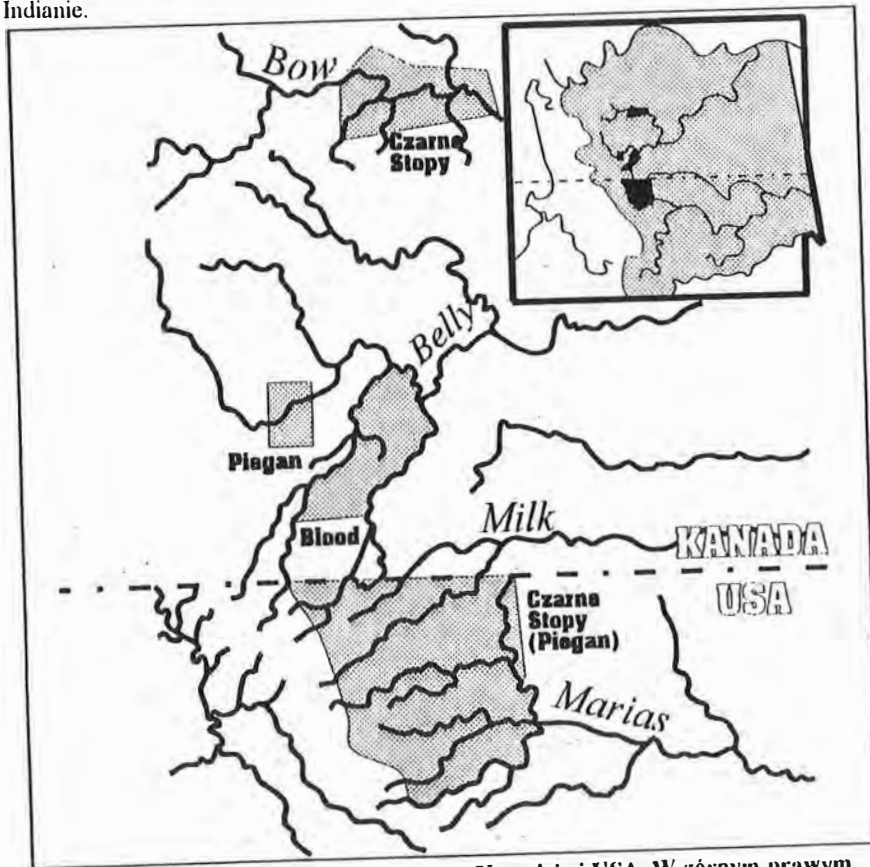
Krok po kroku zmniejszała się wielkość Czarnych Stóp. Szpital oddali rządowi. Wypłacane pieniądze i otrzymywana co tydzień żywność zostały zmniejszone, w końcu musiano z nich zrezygnować i w 1958 roku główny wódz ogłosił, że plemię jest zrujnowane. „Czarne Stopy mają tylko dwa wyjścia -

powiedział - albo spadną ze stolka albo pójdą spokojnie spać."

Nastąpiła stopniowa zmiana programu wspierania plemienia podobna do tych, które stosowano względem innych rezerwatów. Czarne Stopy wydzierżawili ziemię uprawną, by uzyskać dodatkowe fundusze. Zmieniono całkowicie administrację i próbowano poszukać nowych źródeł dochodu. Na terenie rezerwalu otwarto filie Uniwersytetu Mont Royal Colege w Calgary, gdzie kształcili się młodzi Indianie.

Dzięki temu, że w latach dwudziestych i trzydziestych XX wieku Czarne Stopy sami się finansowali, ich dzieje odbiegły od historii innych rezerwatów. Po stracie możliwości samofinansowania się, zmuszeni zostali do poczynienia ogromnych zmian w swym życiu. Życiu, które zmienili już w 1879 roku, kiedy wybito bizona.

Opracowali:
Marek Cichomski
Wiesław K. Niedźwiadek



Mapa 2. Rezerwy Czarnych Stóp w Kanadzie i USA. W górnym prawym rogu porównanie ziem Czarnych Stóp dawniej i dzisiaj.

LEGGINY INDIAN RÓWNIŃ

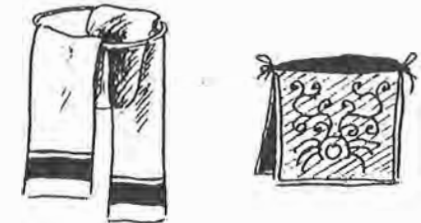
Oryginalne stroje Indian Równin robione były w całości ze skór różnych zwierząt, w które ten region obfitował. W późniejszych czasach wykorzystywano także sukno. Sposoby wytwarzania i formy męskiego stroju u wszystkich plemion Równin były takie same. Drobnie różnice występowały tylko w kolorze, szyciu i wyszywaniu. Można by sądzić, że znając te różnice bardzo łatwo byłoby powiązać dany przedmiot z właściwym plemieniem. Nie jest to takie proste. Wiele plemion kopiowało stroje i ozdoby innych plemion. Zwycięzcy bitwy nosili przy pewnych okazjach stroje przeciwników, a reszta plemienia kopiowała to co używali. Na międzyplemiennych pokojowych spotkaniach zwyczajem była wymiana ładnych prezentów, a więc strojów i różnych przedmiotów. Wszystko to doprowadziło w końcu do ogólnego podobieństwa strojów Indian Równin. Mimo to, stroje te zajmują miejsce wśród najlepszych i najbardziej naturalnych strojów świata.

Z wyjątkiem bardzo chłodnego dnia indiański wojownik w obozie ubierał się prosto, by w ten sposób zachować swobodę ruchów. W normalny dzień strojem wszystkich Indian Równin była przepaska biodrowa, mokasyne i... farba. (Prawie zawsze miał coś namalowane na twarzy.)

Normalna codzienna przepaska była kawałkiem delikatnie wygarbowanej skóry szerokości około 30 cm i długości zależnej od upodobań, od 1,5 m do 2,4 m. Mogła być pomalowana, ale zazwyczaj nie była ozdabiana w ogóle. Aby ją założyć wystarczyło przewiązać się w pasie dość mocnym rzemieniem, włożyć przepaskę między nogi i przeciągnąć końce pod rzemieniem z przodu i z tyłu tak, by swobodnie zwięzały. Noszono ją dłuższą z przodu niż z tyłu i odwrotnie, jak kto chciał.

Dla celów formalnych i do ubraniam noszono przepaski ozdobne. Posiadały proste wzory: pasy, kropki i kwadraty. Przeważnie je malowano, a w późniejszych czasach obszywano koralikami, a nawet cekinami. Przepaski używane do ubrań były zazwyczaj dość długie. Pod koniec

XIX w. większość przepasek robiono z czerwonej lub niebieskiej flaneli albo sukna. Niektóre plemiona, szczególnie Crow i kilka plemion z południowego wschodu nosiło zamiast przepaski fartuszek (apron). Były szersze niż przepaska i posiadały skomplikowane kwieciste wzory wyszyte koralikami.



By wzbogacić swój strój oraz dla ochrony przed ostrymi krzewami i zimnem wojownik wkładał legginy (nogawice). Legginy to po prostu nogawki. Nie posiadały góry tak jak spodnie. Każdą nogawkę obcinano u góry pod niewielkim kątem. W najwyższym punkcie przyszywano przeważnie dwa długie i mocne rzemienie lub paski sukna, które po założeniu legginiów wiązano do paska na biodrach. Wszystkie legginy Indian Równin robiono w taki sam sposób, ale nie wszystkie miały taki sam kształt. Te najstarsze posiadały rurowatą formę i mocno przylegały do nogi. Mimo wielu zmian w kształtach i sposobie wykonywania legginiów, przeważnie dopasowywano je ściśle do nóg, by nie haczyły o różne rzeczy.

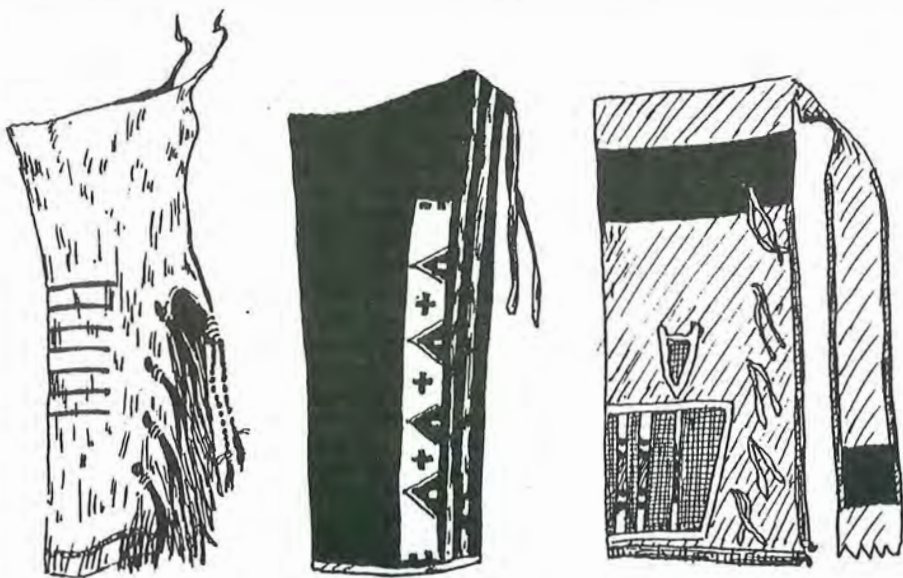
Legginy codziennego użytku rzadko były nieozdabiane. Większość posiadała bardzo niewielkie elementy dekoracyjne np. ślad jakiegoś zwierzęcia. Niektóre legginy posiadały szerokie trójkątne klapy obszyte kołcami jeźwozwerza lub koralikami. Były często odmiennego koloru i nie posiadały frędzli. Klapy takie używano często na środkowych Równinach, szczególnie upodobali je sobie Indianie Kiowa. Pionowy ściąg wzdłuż wewnętrznej strony klapy dopasowywał legginy ściśle do nogi.

Legginy "wyjściowe" były bogato zdobione różnej szerokości pasami wyszytymi kołcami jeźwozwerza lub koralikami. Dekorowano je też różnego rodzaju wstążkami, farbami, dzwonekami, muszelkami, a przede wszystkim długimi frędzlami.

Dla uzyskania ciepłego złotego koloru okładzano je nad małym ogniskiem. Ozdobne pasy z kołców jeźozwierza lub koralików nazywano pod lekkim kątem tak, by były najbardziej widoczne, gdy mężczyzna siedział na ziemi lub na koniu.

W drugiej połowie XIX w. legginy robiono z sukna używanego w kocy. Przyczyniano je według tradycyjnych metod. Ulubionymi kolorami sukna były kolory, na których wyraźnie widać było białe tło koralikowych pasów, w szczególności granatowy, czerwony, zielony, i czarny.

Legginy Indian Crow posiadały u dołu prostokątną, obszytą koralikami łatkę. Reszta leggionów była z czerwonego, zielonego, niebieskiego lub czarnego sukna. Często obramowane były czerwoną tasiemką. Plemiona północnych Równin, jak Blackfoot czy Flathead, stosowali często takie same łatki przy swoich legginach, ale każde z nich obszywało je koralikami w swoje własne wzory.

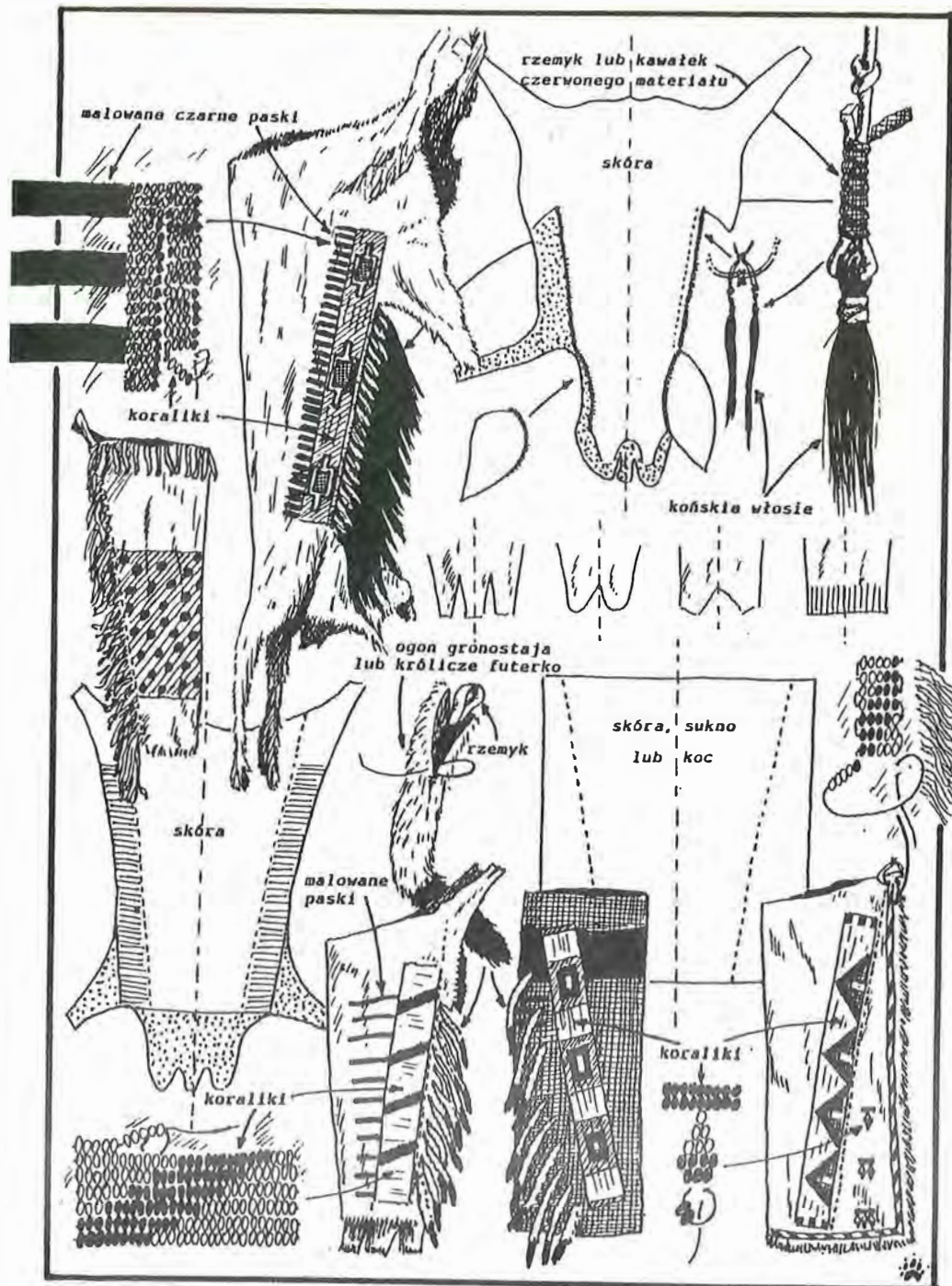


Skórzane frędzle przy legginach były najczęściej proste, ale zdarzały się też skręcane, szczególnie na południowych Równinach. Większość bardzo chętnie wykorzystywała jako frędzle ludzkie i końskie włosy lub stosownie do odpowiednich honorów pasów ze skóry gronostaja.

Honory wojenne pokazywano też przez malowanie na legginach serii poziomych pasów, zazwyczaj niebieskich lub czarnych. Pasy na jednej nogawce były przeważnie szersze niż na drugiej, czasami nawet różniły się ilością. Cienkie pasy prawdopodobnie wazywały wyprawy po konie, a grubsze – wyprawy lub czyny wojenne. Pasy takie malowano także na koszulach.

Po kolorze leggionów i koszul można w przybliżeniu określić obszar ich pochodzenia. Południowe plemiona Równin preferowały kombinacje złoci i zieleni, te na północ od nich lubiły żółt cytrynowy, dalej preferowano kolor kremowo biały, a wysunięte najdalej na północ plemiona Równin lubiły czystą biel i odcień czerwonopurpurowy. Naturalnie, jak zawsze, były wyjątki od reguły i podróżujące grupy Indian raczej ostrożnie zbliżały się do siebie, nim nie ustalili dokładnie z kim mają do czynienia.

Legginy są bardzo funkcjonalne, zwłaszcza przy siedzeniu na ziemi lub na koniu. W otrzymywanych ze sklepów różnych agencji spodniach, Indianie czuli się skrępowani i prawie zawsze obcinali przy nich nogawki, a resztę po prostu wyrzucali.



KUCHNIA INDIANSKA

Ostatnio obiecałam, że napiszę coś specjalnego dla nie jedzących mięsa. Muszę jednak stwierdzić, że jadłospis indiańskich plemion koczowniczych opierał się głównie na mięsie, a wszystkie korzenie, jagody i owoce były tylko dodatkami, które w większości przypadków mieszano z tłuszczem zwierzęcym. Być może wydaje się nam dziwne mieszanie np. borówek z tłuszczem a nie cukrem, ale jest to tylko rzecz gustu. Jeśli uda mi się kiedyś zdobyć jakieś informacje na temat jadłospisu u plemion osiadłych, rolniczych, gdzie jak przypuszczam występowały dania bezmięsne, to na pewno je przekażę. Jedyne typowo jaskie przepisy jakie udało mi się znaleźć pochodzą z książeczki Molly Runningwolfe Sequoyah *American Indian Cooking and Herb Lore*. Oto one:

CHLEB Z BORÓWEK (Cherokee)

2 szklanki mąki
1 szklanka cukru
1 szklanka mleka
2 szklanki borówek
1 jajko

trochę masła i cukru waniliowego

Jajko, masło i cukier ubić razem. Dodać mąkę, mleko i wanilię. Borówki posypać mąką, by nie opadały na dno i wyspać do przygotowanej mikstury. Włożyć do piekarnika i piec w temperaturze 230°C około 40 minut.

PIECZONE KWIATY DYNI (8 porcji)

2 - 3 tuziny kwiatów dyni zerwanych tuż przed kwitnieniem
1 szklanka mleka
1,5 szklanki oleju
1 łyżka mąki
1 łyżeczka soli
szczypta pieprzu
papryka (jako ozdoba)

Mleko, mąkę, sól i pieprz wymieszać razem. Umieścić kwiaty na dużej patelni, delikatnie wlewając przygotowaną wcześniej mieszaninę. Mocno podgrzać olej w dużym metalowym rondlu. Smażyć okryte

rzadkim ciastem kwiaty na gorącym oleju tak długo, aż nabiorą złocistego koloru. Odsączyć wodę przez płótno i udekorować kwiaty papryką. Podawać na gorąco.

CIASTKA ZE SŁODKICH ZIEMNIAKÓW (CHEROKEE) 18 ciastek

2 szklanki przesianej mąki
1,5 łyżeczki cukru
1,5 łyżeczki soli
2,5 łyżeczki proszku do pieczenia
0,5 szklanki oleju słonecznikowego
0,5 szklanki mleka

Utrzeć jedną szklankę słodkich ziemniaków, wysypując je razem z mąką, proszkiem do pieczenia, cukrem i solą do jednego naczynia. Olej i mleko wlać do innego naczynia, ale nie mieszać. Przełać je do słodkich ziemniaków i lekko wymieszać widelcem, aż mieszanina będzie trzymała się razem. Tak przygotowane ciasto przełożyć na posypaną mąką blachę i delikatnie ugniatać, aż będzie gładkie. Rozwałkować ciasto dość grubo, ok 1/4 cm i wyciąć kółka. Ułożyć je na blasze i piec w temperaturze 280°C przez około 15-20 minut. Podawać gorące lub, kiedy będą zimne, przełamać i przypiec jak grzanki.

Jako ciekawostkę podaję też znalezione w wspomnianej książce Molly Sequoyah z plemienia Cherokee, przepis, który jak na indiańskie danie, powalił mnie na kolana, ale dał za to dużo do myślenia. Oto on:

KUKURYDZA INDIAN MOHAWK

1 puszkę całych ziaren kukurydzy
1 małą paczkę orzechów włoskich
0,5 łyżeczki przyprawy do orzechów
2 łyżeczki masła

Kukurydzę z opróżnionej puszki wsypać do wody w garnku. Dodać wody do wypełnienia, dorzucając małą paczkę orzechów i podgrzać. Dodać wtedy pół łyżeczki przyprawy do orzechów, którą można dostać w większości sklepów spożywczych. Tuż przed zagotowaniem dołożyć dwie łyżeczki masła i gotować przez jakiś czas. Podawać na ciepło.

Monika

Polecam artykuł na następnych stronach, dla niektórych będzie on następną rysą w szlachetnym obrazie Indianina.



NIE JADAMY PSÓW

Jadłospis Czarnych Stóp był bardziej zróżnicowany niż można by sądzić. Kiedykolwiek napotymano na drzewo świłośliwki (*Amelanchia alnifolia*), co zdarzało się każdego roku, zbierano jej owoce, suszono i magazynowano na przyszłość. Zbierały je kobiety, wrywając gałęzie obciążone dojrzałymi owocami i wstrząsając je nad skórą rozciągniętą na ziemi. Zbierano także dojrzale wiśnie, które później ucierano kamieniami i suszono. Takie owoce czasami jedzono same, ale częściej używano ich jako przypraw do zup lub mieszano z pemikanem. W ogromnych ilościach zbierano także białe kuleczki, owoce czerwonej wierzby. Są one niesmiernie gorzkie, cierpkie i według większości białych - całkowicie niesmaczne, a nawet wstrętne. Czarne Stopy jednak przepadają za nimi, być może dlatego, że mają pewne niezbędne właściwości, których brakuje im w ich codziennym pożywieniu.

Korzenie *camas*, które w pewnych miejscach rosną obficie, szczególnie na wschodnich zboczach Gór Skalistych, wykopywano, gotowano i suszono. Bulwy pieczono w dołach, tak samo jak Indianie mieszkający na zachód od Gór Skalistych, np. Kalispel. Zbierano je podczas kwitnienia - od 15 czerwca do 15 lipca. Wykopywano głęboki dół, w którym rozpalano duże ognisko, a potem przykrywano je płaskimi kamieniami. Po kilku godzinach,

gdy kamienie i ziemia w dole były już bardzo rozgrzane, usuwano węgle i popiół. Dół moszczono trawą i prawie do pełna wypełniano bulwami. Na nie kładziono trawę, następnie gałęzie i przykrywano to wszystko dziesięcio-centymetrową warstwą ziemi. Następnie rozpalano na tym ogniu podtrzymywany przez jeden, dwa lub trzy dni, w zależności od ilości bulw.

Gdy otwierano dół, zbierały się wokół niego małe dzieci i zlizywały bardzo słodki sok, zbierający się na trawie i gałęziach. Świeżo upieczone *camas* smakują jak pieczone kasztany doprawione odrobiną słodkich ziemniaków. Potem korzenie suszono na słonecznym mlejaku i składowano w workach. Czasami ucierano je razem ze świłośliwkami i suszono.

Zbierano także korzenie rośliny podobnej do tataraku (*Levisia rediviva*), suszono i gotowano. Jest to biały cienki korzeń o długości do 5 cm i grubości gęsiego pióra. Wygląda jak krótkie spaghetti i jest bardzo sływny.

Wiosną, objadano się pewnym korzeniem zwanym "mats". Roślina ta znana była wczesnym francuskim pracownikom Kompanii Zatok Hudsona i Amerykańskich Kompanii Futrzarskich jako "pomme blanche" (*Psoralea esculenta*).

Jedzono prawie wszystkie części takich zwierząt jak bizon, łosć czy jelen, z wyjątkiem płuc, woreczka żółciowego i jeszcze jednego lub dwóch organów. Żołądek jedzono przeważnie na surowo. Za wielki przysmak uważane było nienarodzone jeszcze ciemle wyciągnięte z dopiero co zabitej samicy, zwłaszcza bizona. Gotowane mięso takiego cielaka jest białe, bez smaku i miękkie. Cienkie jelita bizona czasami suszono, ale częściej wypychano długimi, cienkimi paskami mięsa. Przed wypchaniem, jelita wywracano na lewą stronę, w ten sposób z mięsem stykał się pokrywający je słodki biały tłuszcz. Następnie lekko je opiekano, po czym wiązano końce, aby nie wypłynęły soki i gotowano w wodzie. Jest to wielki przysmak i gdy jest dobrze przyrządzony cenią go sobie zarówno Indianie, jak i biali.

Istniały dwa sposoby przyrządzania mięsa - gotowanie i pieczenie. Pieczono bardzo dokładnie, ale gotowano tylko na tyle, by mięso utraciło swój czerwony kolor. Wkładano je do gorącej wody i tak pozostawiano na jakieś 5 lub 10 minut. Zanim Czarne Stopy weszli w posiadanie

europjskich garnków, gotowali mięso w następujący sposób. Wykopywano w ziemi dół, wkładano do niego skórę nieowłosioną stroną do góry i przymocowywano ją do ziemi kołkami. Wkładano tam mięso i wlewano wodę, wrzucając do niej rozgrzane do czerwoności kamienie i zmieniając je co chwilę, aż woda zrobiła się gorąca i mięso się ugotowało.

W czasach, gdy mięsa było w bród, suszono je w ogromnych ilościach, by spóżyć w dniach, gdy nie będzie można zdobyć świeżego mięsa. Grube kawałki mięsa cięto na długie, cienkie paski i wieszano na słonecznym miejscu, by wyschło. Jeżeli pogoda nie była sprzyjająca, mięso wieszano na rzemieniach lub na rusztowaniach w górnej części domu. Jeżeli mięso było dobrego gatunku i właściwie je wysuszone, paski miały około pół centymetra grubości i były bardzo kruche. Suszono również tłuszcz z tylnej części bizona i jedzono go z mięsem, tak jak myjemy chleb z masłem. Pemmikan robiono z mięsa bizona, które suszono w sposób wyżej podany. Wybierano do tego celu chude mięso, takie jak szynki, polędwice czy łopatki. Gdy nadchodził czas robienia pemmikanu, przygotowywano dwa wielkie ogniska z suchego drewna osikowego, które spalano, aż do uzyskania czerwonych węgli. Stare kobiety przynosiły paski wysuszonego mięsa, które rzucano na węgle jednego z ognisk. Pozwalano im się przypiec, pilnując, aby się nie spaliło, a następnie układano je na nieowłosionej stronie skóry, obok ogniska. Po pewnym czasie pieczenie powodowało dymienie ogniska, przez co mięso nabierało gorzkiego smaku. Wówczas pieczono je na drugim ognisku, dopóki pierwsze nie przestało dymić. Cykl ten powtarzano kilka razy. Gdy już wystarczająca ilość mięsa została upieczona, było ono zbite kijami, a że było kruche łatwo je łamano na mniejsze kawałki. Suszono je i tarto tak długo, aż były O.K. W tym samym czasie w garnkach topiono tłuszcz bizoni i przygotowywano specjalne torby na pemmikan. Torby te robiono ze skóry bizoniej, przeciętej wzdłuż i mającej zaokrąglone rogi. Z dwóch kawałków skóry zszytych razem powstawała torba mogąca pomieścić do 50 kilogramów pemmikanu. Starte mięso i tłuszcz, który właśnie zaczynał krzepnąć wkładano do koryta zrobionego ze skóry bizona i mieszano drewnianą łopatką. Gdy mieszanka była już

gotowa, wkładano ją do worków, upychano i ubijano grubymi kijami tak, by pozbyć się w worku zbędnego powietrza. Gdy taka torba była już pełna i bardzo dokładnie ubita, zaszywano ją, kładziono na ziemi, a kobiety skakały po niej, aby nabita była jeszcze bardziej. Zostawiano ją później na słońcu, aby pemmikan stępszał i wysuszył się do końca. By napełnić taką torbę wystarczyło mięso dwóch jałówek, a mięso z jednego dużego bizona wystarczało na napełnienie czterdziestokilogramowej torby.

Wiosną ludzie jedli jajka kaczek albo innego wodnego ptactwa. Zbierano je w dużych ilościach. W ziemi wykopywano dziurę, do której wlewano trochę wody. Tuż nad jej powierzchnią robiono platformę z patyków, na które stawiano jajka. Z jednej strony tej dziury wykopywano drugą, mniejszą, nachyloną pod pewnym kątem. Gdy już było wszystko gotowe, zlepiano główną dziurę błotem, które kładziono na drugiej platformie, a przez mniejszy otwór wrzucano do wody rozgrzane do czerwoności kamienie, dzięki czemu powstawała para i jajka się gotowały.

Początkowo Czarne Stopy rzadko jedli ryby, ale teraz przepadają za nimi. Nigdy nie jedzono żółwi, żab i jaszczurek, gdyż uważano je za złe zwierzęta. Psów, które okoliczne plemiona takie jak choćby Kri, Gros Ventre, Siuksowie i Assiniboin uważały za przysmak, nie jedli. Nie tłumaczy tego żaden zakaz religijny. Słyszałem kiedyś od jednego z Pikuni (Piegan), że jeśli psa to brzydka sprawa. "One są naszymi prawdziwymi przyjaciółmi" - rzekł. - "Ludzie także mówią, że są przyjaciółmi, a potem odwracają się. Ale psy są szczerze. Skomla, gdy nas nie ma i cieszą się, gdy wracamy. Pilnują nas, gdy śpimy. Dlatego szkoda biednych psów!"

Węży, koników polnych, dzidownic i różnych insektów nigdy nie jadano. Sól była właściwie nieznaną przyprawą. Choć teraz wielu przepada za nią, znam wielu takich, zwłaszcza wśród starców, którzy nigdy nie używają soli.

George Bird Grinnell

Z książki G. B. Grinnella pod tytułem "Pawnee, Blackfoot and Cheyenne, History and Folklore of the Plains" wydanej w Nowym Jorku w 1961 roku, przetłumaczył Dariusz Pohl.

* * * * *

Gwiazdy filmu i estrady dość często angażują się w różnorakie inicjatywy społeczne, których charakter i cel jest nie do końca oczywisty, gdyż czasami trudno jednoznacznie powiedzieć, kto na tym więcej zyskuje: artysta, robiący sobie reklamę, czy prawdziwy adresat tych filantropijnych akcji.

Ze sprawą Indian szczególnie związani byli w latach siedemdziesiątych m.in. Marlon Brando, Jane Fonda, a później i Robert Redford.

W miesiąc po zajęciu Wounded Knee sprawa indiańska zyskała nieoczekiwany rozgłos. 27 marca 1973 roku w sali Music Center w Los Angeles odbywała się uroczystość wręczenia Oscarów - nagród amerykańskiej Akademii Filmowej.

Gdy wywołano nazwisko Marlona Brando, który zdobył tytuł najlepszego aktora roku za rolę w filmie *Ojciec chrzestny* (1971, reż. Francis Ford Coppola), na podium zamiast aktora weszła młoda Indianka, Sacheen Little Feather z ludu Apaczów (zob. artykuł obok) i odczytała oświadczenie Marlona Brando wyjaśniające powody, dla których aktor nie chce przyjąć nagrody.

Odmowa przyjęcia Oscara nie była karysem kontrowersyjnego aktora, szukającego taniej reklamy, ale pewnego rodzaju konsekwencją. Marlon Brando był bowiem za sprawą Indian związany już od początku lat sześćdziesiątych, kiedy to brał udział w słynnych "wojnach o ryby", które poruszyły indiańskie społeczności i przyczyniły się do powstania panindiańskiego ruchu RED POWER. W 1964 roku aktora aresztowano za udział w demonstracyjnym połowie ryb mającym uzmysłowić społeczeństwu błędy polityki określania limitów połowów dla Indian, dla których ryby stanowiły podstawowe źródło utrzymania. W 1975 roku Brando przyłączył się do grupy Indian Menominee okupujących opactwo zakonników w Gresham (stan Wisconsin) i próbujących w ten sposób odzyskać prawo do ziemi, która niegdyś do nich należała. W 1978 roku wziął udział w Najdłuższym Marszu, którego trasa wiodła z Kalifornii do stolicy w Waszyngtonie. Marsz ten nie miał podłoża politycznego, ale duchowe. Indianie chcieli w ten sposób udowodnić Amerykanom, że jeszcze istnieją.

Przez wiele lat aktor przygotowywał się do nakręcenia kilkuczęściowego filmu *Wounded Knee* poświęconego dawnej i współczesnej historii Indian w Ameryce. Wielu znanych aktorów wyraziło zgodę na gratisowy udział w tym filmie - m.in. Paul Newman, Barbra Streisand i Steve McQueen. Rodzinne problemy aktora nie pozwoliły mu jednak zrealizować tego pomysłu.

Poniżej przedstawiamy fragmenty obszernego wywiadu z Marlonem Brando, przeprowadzonego w 1978 roku dla *Playboya* przez Lawrence'a Grobela. Polska wersja *Rozmowy z Marlonem Brando* ukazała się nakładem krakowskiego wydawnictwa GRAFFITI (1992).

MM

TO MNIE SZOKUJE I PRZERAŻA

Rozmowy z Marlonem Brando

Do tej pory zwykle odmawiał pan udzielania dłuższych wywiadów. Włec jakim cudem mnie się udało?

Normalnie nie zgodziłbym się na ten wywiad. Ale Hugh Hefner (właściciel *Playboya*) jest człowiekiem, który za pięćdziesiąt tysięcy dolarów wyciągnął Russella Meansa z więzienia w Południowej Dakocie.

Dlaczego Means znalazł się w więzieniu?

Nie pamiętam, tyle już razy siedział. Za plucie na chodnik, noszenie rąk w kieszeniach, zaśmiecanie; każdy powód był dobry. Płacąc pięćdziesiąt tysięcy dolarów Hugh związał się ze sprawą Indian. Wiem, że zrobił to, bo uważał, że sprawa jest słuszna, a nie dlatego, że miał takie widzimisię. Był to gest zaufania.

Przez większą część swojego życia zajmował się pan kwestią praw człowieka, poczynając od walki narodu żydowskiego o własne państwo, przez walkę Murzynów o równe prawa, a kończąc na pańskim dwudziestoleciu

już zaangażowaniu w uświadamianie ludziom tragedii Indian amerykańskich. Nie jest to więc zaden krótkotrwały kaprys. Kiedy po raz pierwszy zainteresował się pan sytuacją Indian?

Po przeczytaniu książki D'Arcy McNickle, Indianina z plemienia Płaskogłowych (Flathead), który uzyskał tytuł doktora antropologii chyba w Londyńskim Instytucie Antropologii, i książki Johna Colliera będącego w tym czasie dyrektorem Urzędu d/s Indian (BIA). Później pojechałem się spotkać z McNickle w Tucson. Rozmawialiśmy na temat historii i życia Indian. Polecił mi skontaktować się z organizacją o nazwie Krajowa Rada Młodych Indian. Wziąłem udział w wielu ich spotkaniach i tak wszedłem w ich świat.

A co w tym świecie jest dla pana najbardziej szokujące?

To, że czyni się zgodne wysiłki, aby zetrzeć z powierzchni ziemi cały naród i ukryć przed światem rzeź trwająca już ponad dwieście lat. I to, że nasz obecny rząd, który uważamy za doskonały i padamy przed nim z podziwu na kolana, systematycznie pozbawia Indian prawa do życia wolności i poszukiwania szczęścia, natomiast jak papuga powtarza całemu światu, że broni prawa do życia, wolności i poszukiwania szczęścia. Jak można to robić jednocześnie niszcząc naszą jedyną rodzimą kulturę, jaka zaistniała na tej ziemi? Rząd amerykański strzela do Indian, morduje ich, głodzi, łamie ich ducha, okrada ich, wreszcie odbiera im dzieci i doprowadza do nędzy. Właśnie to mnie szokuje i przeraża.

A czego teraz Indianie domagają się od rządu, mając taki bagaż historii?

To bardzo proste: chcą, aby na terenach, które zamieszkują, panowało ich własne prawo. Chcą odzyskać ziemię, którą kiedyś im zabrano. Chcą, aby dotrzymano wszystkich układów i porozumień. Chcą suwerenności, praw łowieckich i praw do połowów (ryb), nie chcą podatków. Chcą żyć zgodnie z własną naturą. Chcą przywrócenia własnej gospodarki.

Innymi słowy nie chcą niczego więcej czy mniej niż Żydzi w Izraelu. Od dawna głośno mówimy, że narody mają prawo do samostanowienia i popieramy te kraje na

świecie, które wybierają suwerenność. Ale odmawiamy przywrócenia praw Indianom, bo się nam to nie opłaca. Rząd amerykański ma nadzieję, że [Indianie] po prostu znikną na zawsze z mrokach historii. Ten kraj jest na tyle bogaty, że stać by go było na przywrócenie wszystkich praw Indianom. Francuzi, Holendrzy, Belgowie czy Anglicy oddali swoje kolonie. Albo robili to podnosząc straszny krzyk i zapierając się rękami i nogami, albo spokojnie, bo ujrzeli rękę piszącą na ścianie. Indianie nie mogą mieć już nadziei, że pewnego dnia na rzece Hudson pojawią się *Santa Maria* czy *Pinta*, wszyscy na nie wsiądziemy, i wrócimy do angielskich więzień.

Kiedys Dennis Banks, działacz indyjski, udał się w strzelaninę z patrolom drogowym w Oregonie. Podziurawili mu całą przyciepę, a potem odkryli, że jej właścicielem był pan. Czy mógłby być pan wtedy oskarżony o udzielenie pomocy zbiegłemu przestępcy?

Nie jestem ani nigdy nie byłem komunistą. (Śmieje się) Powiedzmy, że gdyby wtedy poprosił mnie o pomoc jakikolwiek Indianin, to na pewno by ją otrzymał. Dennis był kiedyś tutaj, na wyspie (Tetiara na Tahiti), przez pewien czas. Zaprosiłem go, bo go poszukiwano.

Jak długo tu był?

Około dwóch miesięcy.

Czy władze o tym wiedziały?

Tak. Dennis Banks to wyjątkowy człowiek, ma wspaniale wyostrzoną intuicję i świetnie sobie radzi w trudnych sytuacjach. Może być wzorem dla młodych Indian. Tak jak Russell (Means).

Dlaczego więc FBI zostawiło pana w spokoju?

Ludzie z Departamentu Sprawiedliwości doszli do wniosku, że nie byłoby dobrze, gdyby postawiono mnie w stan oskarżenia, bo to tylko rozdumuchałoby sprawę i wzbudziło zainteresowanie środków przekazu. Przymknijcie Russella Meansa to jedna sprawa, natomiast inna to formalne oskarżenie mnie o udzielenie pomocy amerykańskiemu Indianinowi zmuszonemu ukrywać się z przyczyn politycznych - więc od początku chodziło o to, by sprawę wyciszyć.

Gdyby okupujący Wounded Knee (w 1973) byli czarnymi albo białymi, to rozprawiono by się z nimi w ciągu dwudziestu minut. Obławy policyjne w Los Angeles to niewinne igraszki w porównaniu z tym, co mogłoby się tam zdarzyć. Ale na to nie mogli sobie pozwolić. Nie dlatego, że kierowały nimi jakieś ludzkie uczucia, ale dlatego, że dzięki Hollywood Indianie amerykańscy stali się znani na całym świecie. Od niepamiętnych czasów studia Hollywoodu zajmowały się tematem Indian. Więc, gdyby w Wounded Knee zabili tych wszystkich Indian, zagazowali czy wprowadzili do akcji wozy pancerne, to mielibyśmy wojnę. Zginęłoby mnóstwo Indian. Ale to nadszarpnęłoby międzynarodową reputację Stanów Zjednoczonych i trudno byłoby ją odzyskać. Nie przeszkadzało im samo zabijanie, ale nie chcieli udowodnić światu, że Stany Zjednoczone mordują Indian walczących o własną ziemię i o prawo do prowadzenia własnego życia. Byłoby to zaprzeczeniem wszystkiego tego za czym jakoby opowiada się Ameryka.

A kiedy uświadomił sobie pan po raz pierwszy, że poza rządem to właśnie Hollywood wyrządził Indianom największą krzywdę?

Nie pamiętam momentu, kiedy po raz pierwszy zaświtała mi ta myśl. Ale właśnie niedawno zdałem sobie sprawę, w jak dużym stopniu film może oddziaływać na ludzi. Zawsze lubiłem oglądać Johna Wayne, ale dopóki nie porozmawiałem na ten temat z Indianami, nie przychodziło mi na myśl, jak szkodliwe i zgubne są jego filmy. Tak jak większość filmów hollywoodzkich na ten temat.

Czy jest jakiś film wyprodukowany w Hollywood, który zyskałby pańską aprobatę?

Zaden mi teraz nie przychodzi do głowy. Ale wciąż myślę o Johnie Wayne. Któregoś wieczoru oglądałem *Hondo* w telewizji. Oczywiście film ten jak zwykle pokazuje Indian jako wojowniczych, sportorniałych dzikusów, ziejających nienawiścią i siejących zniszczenie. Wayne nie czuł się w ogóle odpowiedzialny przed indiańskimi dziećmi, których charakter ten film kształtował. To chyba ignorancja, bo coś innego każe człowiekowi pokazywać tak innych. A może nie zdawał sobie sprawy ze szkód, jakie jego film wyrządził.

*A mówiąc o bardziej pozytywnym obrazie Indian w kinie amerykańskim, co sądzi pan o takim filmie jak *Niebieski żołnierz*?*

A tak, z Candice Bergen. Ten film pozostawia dużo do życzenia, bo bardziej chodziło w nim o lejącą się krew i wyprowadzanie flaki niż o jakąkolwiek filozofię, która jest ważna. Rzeczywiście było to przerażające - atak na Sand Creek zakończony masakrą Indian. Pod wieloma względami ten film był prawdziwy.

*A Richard Harris w *Człowieku zwanym koniem*?*

Ten film nie miał nic wspólnego z polityką, czy ze stosunkami między białymi a Indianami. Natomiast niektóre fragmenty *Małego wielkiego człowieka* mogłyby tu być pozytywnym przykładem. W tym filmie oceniono wiele spraw bardzo sprawiedliwie.

Zdaje sobie pan sprawę z tego, że jest wiele innych kwestii, które mogą innych interesować. Pańskie uczucia skierowane są na Indian, natomiast Pańska wiedza, żeby tak to ująć, dotyczy aktorstwa.

Chyba najbardziej denerwuje mnie to, że gdy ludzie chcą się spotkać ze mną, to nastawiają się na spotkanie z zasną gwiazdą filmową, a nie z żywym człowiekiem, którego interesuje coś więcej poza aktorstwem, który ma inne życie i inne problemy.

*Ale wywiad w *całości poświęcony sprawom Indian byłby z konieczności nudny.**

Chciałbym móc zanudzić ludzi kwestią indiańską... bo teraz zaczynam rozumieć, że rzeczywiście takie sprawy wszystkich nudzą. Nikt nie ma ochoty rozmawiać o sprawach społecznych, o sprawiedliwości społecznej. Ale to one nas przecież dotyczą. To zresztą jeden z dylematów w moim życiu. Ludzi nic to nie obchodzi. Jak człowiek chce porozmawiać z młodymi ludźmi na temat Oświeceniemia czy masakry Indian, to okazuje się, że oni nic nie wiedzą. Co gorsza, nic nie chcą wiedzieć na te tematy. Dla większości ludzi najważniejsze jest pivo, serial telewizyjny i bajka na dobranoc.

Przekład Piotr Pieńkowski

MARLON BRANDO

Dlaczego
nie mogę przyjąć
nagrody Oscara?

W czasie rozdawania "Oscarów" w Los Angeles w 1973 roku zamiast Marlona Brando, który odmówił przyjęcia tej nagrody, pojawiła się 26-letnia wtedy, Indianka z plemienia Apaczów Sacheen Little Feather. Odczytała memoriał napisany przez Marlona Brando, który w tłumaczeniu Indiańskiej Babci drukujemy poniżej. Niektórzy z Was mieli okazję poznać osobiście Sacheen w 1990 roku na Świętym Biegu Londyn - Moskwa, którego trasą wiodła również przez Polskę.

Przez dwieście lat mówiliśmy Indianom, którzy walczyli o swoją ziemię, życie własne i swych rodzin, o prawo do wolności: "złóżcie broń, moi przyjaciele, a pozostaniemy tu razem. Tylko wtedy, moi przyjaciele, kiedy złożycie broń, możemy rozmawiać o pokoju i zawrzeć umowę, która będzie dla was dobra".

A kiedy złożyli broń, to ich pomordowaliśmy, oszustwem zabraliśmy im ziemię. To my skazaliśmy ich na głód podpisując oszukańcze umowy, które nazywaliśmy traktatami; nigdy zresztą ich nie dotrzymywaliśmy. To my zamieniliśmy ich w żebraków na kontynencie, który żywił ich od niepamiętnych czasów.

W jakikolwiek sposób będziemy interpretować historię, nawet przemilczając wiele spraw, okaże się, że to nie my mieliśmy słuszną rację, nie my postępowaliśmy prawie. Nie my byliśmy sprawiedliwi w działaniu wobec Indian - nie staraliśmy się zrehabilitować i dotrzymać zawartych umów. Głównie dlatego, że dane nam było dzięki wartości naszej siły, napaść na innych, rabować ich własność, a także i życie, kiedy próbowali bronić swego kraju i wolności.

To my zamieniliśmy ich wartości w przestępstwo, a nasze przestępstwa w cnotę, ale istnieje coś, co jest poza tym wszystkim, co sięga do głębi naszej przewrotności - to straszliwy werdykt

historii, bo ona na pewno nas osądzi, ale jaka jest nasza troska o to? Cóż to za rodzaj moralnej schizofrenii, który pozwala nam głośno przemawiać ze szczytu - aby cały świat słyszał - o życiu zgodnym ze wszelkimi zobowiązaniami, kiedy każda stronica naszej historii temu przeczy?

Może w tej chwili właśnie powiedzieliśmy to sobie.

Dlaczego ta kobieta (Sacheen Little Feather), stojąca przed nami, zepsuła nam wieczór, dlaczego wtargnęła w nasze życie ze sprawą nie obchodzącą nas, o którą wcale się nie troszczymy? Dlaczego ta kobieta zmusiła nas do st ty czasu i pieniędzy wdzierając się do naszych domów?

Myślę, że odpowiedź na te pytania zależy w jakimś stopniu także od tej publiczności. Poniżenie Indian, robienie pośmiewiska z ich charakteru, przedstawianie ich jako dzikusów, wrogów i złych - to bardzo trudne dla dzieci wzrastających w takim świecie. Kiedy indiańskie dzieci oglądają telewizję i widzą jak przedstawia się ich rasę w filmach, ich psychika ulega zranieniu i nigdy nie dowiemy się jak głęboko. Ostatnio pojawiło się kilka chwiejnych stopni poprawiających sytuację, ale są one zbyt chwiejne i jest ich za mało.

Tak więc ja, jako człowiek tego zawodu i obywatel Stanów Zjednoczonych, nie czuję się, abym mógł przyjąć dziś tę nagrodę. Uważam, że dopóki stosunek do amerykańskich Indian nie zostanie radykalnie zmieniony, wszelkie przyznawanie i przyjmowanie nagród w tym kraju jest wielce niestosowne.

Jeśli nie możemy zostać ich braćmi, pozwólcie nam chociaż nie być ich egzekutorami. Chciałbym mieć nadzieję, że ci, którzy słuchali mnie, nie potraktują całej tej sprawy jako brutalne wtargnięcie w ich intymność, ale odniosą się do niej ze zrozumieniem.

Ufajmy jednak, że ci wszyscy ludzie (Indianie) otrzymają niezbywalne prawa, aby mogli pozostać wolni i niezależni w kraju, który ich utrzymywał od niepamiętnych czasów, jak daleko sięgnąć może pamięć ludzi żyjących.

Tłum. Stefania Antoniewicz

CZARNA SUKNIA czyli pierwsze spotkanie

"Widziałeś Misję, podziwiałeś Tańczącego z Wilkami, musisz zobaczyć Czarną Suknię". Może słusznie stawia się ten film w takim towarzystwie, ale powiedzmy sobie szczerze, że nie powtórzył on już sukcesu swych poprzedników. Hasło reklamy, skądinąd bardzo trafne, jednak zawiodło.

Czarna Suknia jest filmem wykraczającym daleko poza stereotyp filmu o Indianach. Australijski reżyser, Bruce Beresford pokazał nam amerykańskich tublców, o jakich się dotąd nie mówiło. Holywoodzki variant westernu przedstawiał Indianina jako pajaca z pióropuszem, ucieleśniającego samo zło. Z kolei western etniczny lansował model Indianina tragicznego, będącego ofiarą brutalności i zła białych zdobywców Dzikiego Zachodu. W obu przypadkach tubylców ujmowano przedmiotowo, z pobłażaniem i wyraźnym podziałem na dobrych i złych.

W Czarnej Sukni natomiast reżyser postawił naprzeciw siebie dwa światy, dwie kultury, wyraźne i w pełni dojrzałe. Powstał zatem obraz niejednoznaczny, skłaniający do przemyśleń, ambitny. Brak dostatecznej wiedzy o Indianach Ameryki Północnej skutecznie utrudnił odczytanie mądrego przesłania filmu, mianowicie: nie ma kultur "lepszych" i "gorszych", istota człowieczeństwa polega na wymianie, na dzieleniu się wartościami własnej kultury z innymi. Nie jest tak, że jedna tylko kultura tylko daje (lub narzuca), a druga tylko przyjmuje. Owa wymiana dokonuje się nie tylko na płaszczyźnie wynalazków technologicznych czy przedmiotów, ale również - co ważniejsze - na poziomie idei i wartości duchowych. Europa podlegała wpływom myśli tubylczo-amerykańskiej, jak również Indianie poznałi myśl europejską.

Pierwszymi misjonarzami w Nowej Francji byli jezuiti, którzy w latach 1611-1614 przybywali małymi grupkami do Acadii (dzisiejsza Nowa Szkocja i Nowy Brunswik). Gubernator Samuel de Champlain pragnął jednak wysłać misjonarzy

także w głąb kontynentu, do plemion z obszaru Wielkich Jezior, szczególnie Huronów, z którymi Francja prowadziła wtedy handel futrami. Dzięki jezuickim *Relacjom* - bogatej korespondencji misjonarzy do swych przełożonych we Francji - można dziś poznać ogrom dzieła misyjnego, a także szereg indiańskich zwyczajów, dziś już zapomnianych. *Relacje* drukowane w latach 1632-1673 regularnie co roku, a następnie okazjonalnie przez koniec wieku XVII i wiek XVIII, do dziś pozostają podstawowym i najbogatszym źródłem materiałów o kulturze tubylczych plemion Ameryki Północnej.

Do tego właśnie źródła, a także do późniejszych prac antropologów i konsultantów indiańskich sięgnęli reżyser i scenograf filmu (a wcześniej i Brian Moore, autor literackiego pierwowzoru) przy odtwarzaniu realiów tamtego czasu, systemu społecznego i politycznego plemion leśnych, hierarchii wartości i sposobu myślenia. Z wielką pieczołowitością odwzorono także tubylcze osady i stroje. Obok zapisów o codziennym życiu Indian misjonarze uczyli się ich języka i sporządzali słowniki, czym przyczynili się do ocalenia tego ważnego składowika tubylczych kultur. Paradoksalne jest to, że dziś wielu Indian posługujących się już tylko angielskim, sięga do tych starych opracowań, by na nowo poznać język i zwyczaje swych przodków.

Film *Czarna Suknia* pokazuje jak bardzo skomplikowane jest dzieło misyjne, ile wymaga pokory, cierpliwości i poświęcenia. Symbolika chrześcijańska nie zawsze jest zrozumiała dla ludów innych kultur, stąd łatwo o nieporozumienia. "Oni wierzą, że w nocy umarli widzą - wyjaśniał Daniel ojcu Laforgue. - Umarli zwierzęta i umarli ludzie krążą po lasach nocy. Dusze ludzi polują na duże zwierzęta, przemierzając lasy, w których rosną dusze nieżywych drzew. - Cóż za dziecinne rozumowanie - uśmiechnął się ojciec Laforgue, - Czy trudniej w to uwierzyć niż w raj, gdzie wszyscy siedzimy na chmurach i patrzymy na Boga? Albo w piekielne ognie, w których płonimy na wieki?" - pytał Daniel.

W zestawieniu obu tych wierzeń tylko pozornie brak elementów wspólnych. Można oczywiście trwać na swoim stanowisku i nie wykazując większej chęci zrozumienia

drugiej strony, prowadzić ewangelizację "dzikich" i oceniać efekty według ilości chrztów. Bardzo długo pokutowało to przeświadczenie, że ten jest dobrym misjonarzem, który dużo chrzci. Ale można też inaczej: ojciec LaForgue jechał do Nowego Świata jeszcze z takim pragnieniem uтворowania drogi do rajów jak największej liczbie "dzikich". Jednak wyprawa z grupą Algonkinów do odległej misji uświadamia mu boleśnie sens jego zawierzenia. Chyba zawsze podróż skłania do zadumy nad czasem, de weryfikacji swych wyborów i postanowień. Częste retrospekcje w filmie mają raz jeszcze pokazać, jak to się stało, że ci ludzie znaleźli się właśnie tutaj; mają poddać próbie ich postanowienia i śluby. Dla ojca LaForgue wyprawa w indiańskim towarzystwie to nie tylko zmaganie się ze zwątpieniem i słabością ciała, ale także przyspieszone dojrzenie w wierze, coraz bardziej świadome pójście za swym Nauczycielem. W Ihonatrii (misja wśród Huronów) musi jeszcze przeciwstawić się umierającemu ojcu Hieronimowi - który ciągle wierzy w moc wielości udzielonych chrztów - aby z nową mocą głosić słowa swego Nauczyciela, słowa miłości i zrozumienia ludzkiej niedoli. Ojciec LaForgue nie opowiada tubylcom, że czary z wodą (chrzest) na pewno odwróca domniemany gniew Boga (czym straszyl ich ojciec Hieronim) i gorączka ich opuści. Mówi, że chrzest nie uchroni ich przed chorobą, ale Bóg jest miłosierny. I wtedy widz jest świadkiem jednego z najbardziej dramatycznych dialogów filmowych. Oto tubylcy zadają ojcu LaForgue pytanie:

- Kochasz nas?
- Tak.
- Więc możesz nas ochrzcić.

Nawracać można tylko mocą miłości, jak Chrystus. Chrześcijaństwo bowiem "jest wiara, a nie kulturą - mówi współczesny nam jezuita. - Chrześcijaństwo podtrzymuje w każdej kulturze to, co może być włączone, wcielone. Nikt nie ma Jezusa Chrystusa na własność, ani też chrześcijaństwa. Dzielenie się wiarą to obowiązek każdego chrześcijanina, bez względu na jego kulturowe zaplecze". Pożądanie Chrystusa jest wyzwaniem dla każdego. Wiedziała o tym Kateri Tekawitha, pierwsza Irokezka Mohawk, ochrzc-

cona z wyboru, żyjąca w połowie XVII wieku, uznana za błogosławioną przez Jana Pawła II w 1980 roku. Wiedza o tym współczesni Irokezi, którzy często stają przed dylematem: tradycyjna religia Długiego Domu czy chrześcijaństwo. "Gdy ktoś nie może się zdecydować, którą drogą pójść - pówi Louis Farmer, tradycjonalista Onondagów - i w efekcie nie podąży żadną z nich, to mówimy: 'biega po lesie'. Tacy ludzie nie mają domu ani w indiańskim świecie, ani w świecie białego człowieka. Nie zwracają uwagi na słowa Stwórcy, więc ciągle gonią - nie wiadomo dokąd i po co. To straszne".⁴

Filmowy romans Bretończyka Daniela i Algonkinki Annuki sugeruje, że natura człowieka, jego atawistyczne potrzeby są wszędzie takie same i choćby dlatego możliwe jest porozumienie przedstawicieli dwóch różnych kultur. Samo to spotkanie (często nazywane "zderzeniem") jest jednak tak dramatyczne, że wymaga zachowania dużej ostrożności i taktu. Wzajemne poznanie się wymaga czasu; gwałtowność i arogancja którejkolwiek ze stron niestety temu nie służą.

Marek Maciołek

Przypisy

1. B. Moore, *Czarna Suknia*. Przeł. A. Pavelec. Wyd. Graffiti. Kraków 1992.
2. B. Moore, Op. cit., s. 98.
3. Fragment wywiadu z Charlesem E. O'Neillem, SJ, dyrektorem Jezuckiego Instytutu Historycznego w Rzymie, opublikowanego w czasopiśmie *America* Vol. 166 No. 11, kwiecień 1992, s. 273.
4. *Wisdomkeepers. Meetings with Native American Spiritual Elders*. Oprac. H. Arden i S. Wall. Beyond Worlds Publishing, Inc. Hillsboro, Oregon, s. 119.

O filmie *Czarna Suknia* pisaliśmy też w numerze 3(20) TAWACINU.



PROROK MIMO WOLI

W numerze 2(19) TAWACINU opublikowaliśmy artykuł Michaela T. Benvello o konstytucji irokezkiej, czyli Wielkim Prawie Pokoju. Marek Cichomski w osobnym szkicu przybliżył czytelnikom postać samego autora, którego obdarzyliśmy mianem "indiańskiego korespondenta", głównie ze względu na jego działalność w Polsce (koresponduje z nim wiele osób). W obronie dobrego imienia Mike'a i jego roli w społeczności Mohawków wystąpiły dwie cztelniczki z Krakowa (nr 3(20)), wytykając nam błąd i nietakt, jaki popełniłszyśmy nazywając autora "korespondentem", a zupełnie pomijając fakt, że jest on "sekretarzem" Konfederacji Irokezów.

Marek opisał całą tę sprawę Mike'owi i poprosił go o komentarz. Mike odpowiedział: "Doceniam ich troskę w obronie mojego imienia w waszym kraju, ale one NIE MAJĄ racji. Nie jestem SEKRETARZEM Konfederacji Sześciu Narodów Irokeskich i sposób przedstawienia mej postaci w artykule jako INDIAŃSKI KORESPONDENT jest właściwy i odpowiedni. Wszelkie kontakty, jakie utrzymuję z waszymi ludźmi, były i nadal są moją własną inicjatywą. Nie otrzymałem żadnego oficjalnego mandatu czy autoryzacji ze strony Konfederacji Irokeskiej do prowadzenia tej działalności. Jestem po prostu jednym z Ludzi Długiego Domu w Kahnawake (Quebec, Kanada) i jako taki prowadzę korespondencję z ludźmi w twoim kraju."

Tyle list Micheala. Dokumentacja tej sprawy spoczęłaby zapewne w naszej redakcyjnej szufladzie, gdyby życie nie dopisało zabawnego i niespodziewanego zakończenia. Nadszedł oto kolejny list (z 7 maja br) od naszego "korespondenta" z Kahnawake, zawierający informację - uwaga! - że "w poniedziałek, 19 kwietnia 1993 roku oficjalnie wybrano mnie na stanowisko Sekretarza Długiego Domu, które objąłem w Kahnawake po trzech latach przerwy. Nie oznacza to, że moja korespondencja z waszymi ludźmi nabierze odtąd oficjalny charakter. Nadal pozostanie wyłącznie moją własną inicjatywą".

Nigdy nie przypuszczałem, że możemy się okazać prorokami, a jednak...

Zyczymy Michaelowi T. Benvellovi, Sekretarzowi Konfederacji Irokeskiej w Kahnawake powodzenia w tej potrzebnej i odpowiedzialnej pracy.

MM

INDIAŃSKIE OBSCENA

Na marginesie recenzji *Czarnej Sukni* trzeba wyjaśnić pewną sprawę, która zbulwersowała wielu czytelników; muszę przyznać, że mnie również. Chodzi, rzecz jasna, o wulgaryzmy w polskim przekładzie powieści.

Czy Indianie tak mówili? Oczywiście nie! A czy znali przekleństw? Z pewnością tak, choć nie wiemy nic konkretnego. Wulgaryzmy istnieją w każdym języku. Odszą się do realiów życia w danej kulturze, dotyczą sfery tabu i są historycznie zmienne, uzależnione od określonych norm kulturowych i obyczajowych. Zatem Indianie musieli znać i używać słów wulgarnych, obraźliwych i szyderczych. Jaką miały postać - nie wiemy. Na pewno nie w wersji zaproponowanej przez tłumacza, Andrzeja Pavelca. Bez znajomości języka ojczystego danego plemienia nie można nic powiedzieć o jego zasobie leksykalnym, o tym, co gorszyło i wywoływało rumieniec zawstyżenia.

Osobną sprawą jest przekład literacki. W przypadku *Czarnej Sukni* tłumacz poniósł całkowitą porażkę. Jakość przekładu, skądinąd bez zarzutu, kompletnie dyskwalifikuje (w kategorii literatury indiańskiej, oczywiście) nagminne stosowanie najbardziej chamskich, polskich wulgaryzmów (np. "O czym ty, k... mówiasz?" (s.104) albo "Ty głupi, błąd k... sie (s.105)) To wcale nie jest śmieszne, jak zapowiada autor powieści, a tłumacz bezwiednie powtarza (s. 8). Tłumaczenie utworów z odmiennych kręgów kulturowych wymaga od tłumacza nie lada umiejętności zwłaszcza jeśli chodzi o tak intymną sferę języka, jaką są obscena. W żaden sposób nie wolno stosować rozwiązań proponowanych przez konwencję taniej literatury sensacyjnej i brukowej, której autorzy prześcigają się w faszerowaniu czytelnika obrzydliwościami pozbawionymi wszelkiego smaku literackiego i nastawionymi jedynie na efekciarstwo.

Niestety, to już kolejna współczesna powieść o Indianach (po *Taneczącym z Wilkami*) w głupi sposób zepsuta przez tłumacza.

MM



B R A Z Y L I A

W poprzednim numerze TAWACINU zamieściliśmy informacje o brazylijskich Indianach Makuxi, którzy toczą obecnie batalię o zachowanie swej ojczyzny. Poniżej przytaczamy kilka wcześniejszych przypadków łamania praw człowieka w Brazylii, pokazujących źródła zagrożeń dla ludności tubylczej, a także rzucających dodatkowe światło na politykę wobec Indian, której tok nadal wyznaczają do- różne interesy grup uprzywilejowanych.

Teoretycznie istnieją odpowiednie przepisy chroniące Indian brazylijskich przed łamaniem praw im przysługujących. Międzynarodowi eksperci uważają Konstytucję Brazylii z 1988 roku za jedną z najbardziej postępowych w dziedzinie ochrony praw tubylców. Obok uznania tubylczych tradycji społeczno-kulturowych oraz prawa do ziemi, Konstytucja zawiera paragrafy, które powinny zabezpieczać Indian przed skutkami wprowadzania w życie różnych projektów gospodarczych. W przyszłości, uruchomienie kopalń i elektrowni wodnych będzie wymagać zgody Kongresu.

Dodatkową ochronę powinna zapewnić FUNAI - instytucja rządowa powołana w 1967 roku przy Ministerstwie Spraw Wewnętrznych (w lipcu 1990 przeniesiono ją do Ministerstwa Sprawiedliwości) celem ochrony praw tubylców. Teoretycznie FUNAI dysponuje znacznymi możliwościami zapobiegania nadużyciom przeciwko Indianom: może skorzystać z pomocy policji, a nawet wojska w celu ochrony indiańskich ziem przed inwazją.

Pomimo tych teoretycznych zabezpieczeń, Indianie brazylijscy są nadal narażeni na stosowanie wobec nich przemocy i oszustw.

KLIMAT BEZKARNOSCI

Faktem jest, że w znakomitej większości przypadków, winni nadużyć wobec Indian wymykają się sprawiedliwości. Stanowi to wręcz zachętę do stosowania przemocy przez tych, którzy próbują zagarnąć trochę indiańskiej ziemi. Winnymi bywają nawet policjanci, wynajmujący się po służbie do różnych akcji przeciwko Indianom.

W marcu 1985 dziewiętnastu Indian Kaiowa wysiedlono siłą z wioski Jaguapire na terenie tubylczego terytorium Guarani w Mato Grosso do Sul. Zandarmerie i uzbrojeni mężczyźni nie mieli żadnych oficjalnych nakazów. Kilkoro Indian pobito do tego stopnia, że konieczna była opieka szpitalna. Wszczęto śledztwo ale nie doprowadziło ono do ukarania winnych, wydano natomiast rozporządzenie zadawające właścicielom ziemskich chłapiących na ziemi Jaguapire. Ostatecznie Indian Kaiowa ekemitowano i osadzono w innym rezerwacie. W 1991 roku sąd federalny z Sao Paulo anulował tę decyzję i skierował sprawę do ponownego rozpatrzenia, ale Kaiowowie dalej musieli koczować na zatłoczonym posterunku FUNAI.

MASAKRA INDIAN TICUNA

Od roku 1980 Indianie Ticuna prowadzili kampanię na rzecz oficjalnego wytyczenia granic swoich ziem w stanie Amazonas, niedaleko Sao Leopoldo. Rozszerzenia do tych ziem zgłaszał także lokalny handlarz drewnem. Trwający od wielu lat spór doprowadził do śmierci czterestu bezbronných Indian.

Masakra wydarzyła się 28 marca 1988 roku. Grupa stu Indian oczekiwała nad potokiem Capecete na powrót delegacji, która udała się do Benjamin Constant, żeby zgłosić kradzież byka. Niczego nie podejrzewając skracali sobie czas oczekiwania śpiewaniem pieśni, gdy zbliżyli się do nich uzbrojeni mężczyźni i otworzyli ogień z karabinów maszynowych. Zaatakowani Indianie rzucili się do ucieczki, jedni pobiegli w stronę lasu, inni usiłowali odpłynąć w kanu, jeszcze inni schronili się w pobliskiej chacie.

Wśród 14 zabitych było sześcioro dzieci. Dwunastoletnia dziewczynka, którą postrzelono w plecy i szyję, zdołała się schować w lesie razem z przyjaciółką i tak przetrwała. Mimo ran przepłynęła potok i dotarła do Sao Leopoldo. Leila Valentin Marcos, sześciolatka dziewczynka, również była ranna. Znalezione ją w kanu pomiędzy zabitymi współplemieńcami. Udawała nieżywą. Z głowy usunięto jej 12 odłamków.

Policja federalna przybyła następnego ranka i chociaż uzbrojeni bandyci nadal krążyli w pobliżu, nikogo nie aresztowano. Policjanci skonfiskowali jedynie broń, ale nie ustalili tożsamości bandytów, co jest podstawą do rozpoczęcia testów balistycznych.

Dochodzenie przeciągało się, dopiero pod koniec 1990 - 2,5 roku po tragedii - sędzia z Benjamin Constant wysunął oskarżenia przeciwko trzynastu osobom, w tym handlarzowi drewnem, któremu zarzucono kierowanie całym atakiem. W 1991 roku miejscowy oskarżyciel z urzędu zakwestionował przeniesienie rozprawy do Manaus. Sędzia rejonowy postanowił, że rozprawa odbędzie się w listopadzie 1991 w Benjamin Constant. Oskarżyciel odwołał się do Sądu Apelacyjnego, który odroczył rozprawę na czas późniejszy.

W odpowiedzi na listy członków Amnesty International wyrażających zaniepokojenie oskarżaniem się rozstrzygnięcia całej sprawy, doradca gubernatora stanu Amazonas stwierdził, że ze względu na obowiązującą zasadę rozdzielenia władz, gubernator musiał respektować niezależność sądownictwa i że postępowanie było prowadzone zgodnie z zasadami sprawiedliwego procesu.

PARODIA SPRAWIEDLIWOŚCI

Opóźnienia w postępowaniach sądowych nie są czymś wyjątkowym. Minęło już 9 lat od zamordowania Marcala de Souza Guarani, Indianina Guarani-Nhandeva, który zdobył międzynarodową sławę za działalność na rzecz Indian. Oskarżeni o morderstwo wciąż czekają na wymierzenie sprawiedliwości.

Marcal de Souza był pielęgniarzem i pracował dla FUNAI, organizując kliniki w indiańskich rezerwach. Jednocześnie

nie był rzecznikiem praw Indian. Kiedy papież Jan Paweł II odwiedził w 1980 roku Brazylię, Marcel de Souza w swym przemówieniu zwrócił uwagę na nadużycia dokonywane wobec Indian. "Tubylcze ple- miona brazylijskie - powiedział - masakraje się, ekaplotuje i zabija jak zwierzęta. Kiedy 'odkryto' Brazylię byliśmy wielkim narodem, a dziś jesteście zabijani, żyjemy w nędzy, zepchnięci na margines przez tych, którzy przejęli naszą ziemię - wielką Brazylię, która nazywa siebie chrześcijańskim krajem."

W listopadzie 1983 roku Marcel de Souza został zastrzelony przez dwóch mężczyzn w swojej klinice w rezerwacie Campestre. Wcześniej prowadził kampanię na rzecz wytyczenia granic rezerwatu Indian Piragua w Mato Grosso do Sul. Choć rezerwat znajdował się pod zarządem FUNAI, miejscowy obszarnik wysuwał roszczenia wobec tych terenów, twierdząc że to Indianie są "najeźdźcami" i w ślad za tym usunął tablice określające granice rezerwatu. Krótco przed śmiercią Marcel de Souza powiedział rodzinie, że zarządca dóbr obszarnika proponował mu pieniądze za nakłonienie Indian do opuszczenia swoich ziem; kiedy odmówił, zarządca groził mu śmiercią.

Władze stanowe wysunęły teorię, że to pierwsza żona Marcala wynajęła płatnych bandytów, ale zostało to podważone przez policję federalną, która na prośbę FUNAI prowadziła dochodzenie. Testy balistyczne wykazały, że jedną z kul znalezionych na miejscu zbrodni, wystrzelono z broni zarządcy. Później jednak wszelkie dowody w tej sprawie w niewytłumaczalny sposób zniknęły, zarówno broń, jak i zeznania na piśmie.

Dochodzenie przeciągało się do 1991, kiedy sędzia zarządził ekshumację zwłok w celu zrekonstruowania dowodów balistycznych. Wcześniej z aresztu zwolniono zarządcę, gdyż w myśl kodeksu karnego, podejrzanego nie można przetrzymywać bez przesłuchania wstępnego dłużej niż 81 dni. Po wyjściu na wolność zarządca ukrył się, a proces nie może się odbyć bez niego.

Wiesław Kołeczek

Tekst opracowano na podstawie materiałów Amnesty International.

MOJE SPOTKANIE Z BABCIĄ



Indiańską Babcie - Stefanię Antoniewicz poznałam we wrześniu 1979 roku, za pośrednictwem *Świata Młodych*. Jak wielu moich rówieśników, czerpałam swoją wiedzę o Indianach z dostępnych wówczas książek i czasopism. Nie wiedziałam jeszcze nic o tworzącej się grupie poparcia, z której powstał Ruch Indiański. Nie wiedziałam również nic o życiu współczesnych Indian i ich walce o przetrwanie.

Spotkanie z Babcie przeszło moje najśmielsze oczekiwania - mogłam być dzięki niej tak blisko sprawy Indian, jak tylko to było wówczas możliwe. Odwiedzałam Babcie przeważnie raz w tygodniu. Rozmawialiśmy po kilka godzin na temat ostatnich wydarzeń, a także o duchowych ścieżkach Indian. Zródłem wiadomości były pisma *Akwesasne Notes*, *Many Smokes*, książki oraz listy Indian do Babcie.

Zwykle nie było dobrych wieści: aresztowania, prześladowania, nieustanne próby zniszczenia Indian i ich kultury; były też zdjęcia ślicznych indiańskich dzieciaków - zdjęcia, które mówiły, że ich dzieci są takie same, jak dzieci ich prześladowców, i tak samo pragną być szczęśliwe w ramionach swoich rodziców. Babcia opowiedziała mi o Alcatraz, Szlaku Złamanych Traktatów, Wounded Knee 1973 oraz o Najdłuższym Pochodzie. Odwaga i poświęcenie, z jakim indiańscy przywódcy i wojownicy bronili swoich narodów zasługiwało na najwyższy szacunek i uznanie. Wielu z nich oddało swe życie lub trafiło do więzienia. Na pytanie "jak to się skończy?" - Babcia niezmiennie odpowiadała - "Nie zwycięża, czego nie znają". Historia to potwierdza, trwa walka o przetrwanie indiańskich narodów i one również trwają.

Babcia mówiła: "Biali sądzą, że Indian ubyto, ale to nieprawda, dusze Indian, które nie będą mogły się urodzić w indiańskich rodzinach, urodzą się

wśród białych i będą to ludzie myślący jak Indianie. Dzięki temu liczba Indian na świecie nie zmniejsza się." Ciekawe, czy my, nasze ścieżki i organizacje w Polsce i na świecie właśnie o tym nie świadczymy? W końcu mamy swoją historię.

Na pytanie "Babcie, a co trzeba robić?" odpowiadała: "Tylko to, co jest możliwe dla Ciebie, w Twoim czasie". Mówiła: "Spotkałam się z krytyką młodych rodzin przyjaciół Indian, że nic nie robią. Nie mogą przecież zostawić płaczących dzieci, by zająć się czymś, co jest również ważne. Ci ludzie muszą najpierw wypełnić swoje obowiązki wobec swych rodzin, a potem uczestniczyć w pracach na rzecz Indian. Dla każdego nadejdzie jego czas." Znalazło to odbicie również w Jej życiu.

W swoim czasie zrobiła dla Indian i dla nas to, co trwa do dzisiaj. Związała nas, polskich przyjaciół Indian z walką Indian o przetrwanie w sposób rzeczywisty, trwały; między naszymi narodami nawiązała się przyjaźń.

Najwyżej ocenianą przez Babcie formą pomocy było wysłanie petycji, gdziekolwiek była taka potrzeba. Uważała, że każda taka wiadomość od kogoś z dalekiego kraju miała ogromne znaczenie w rozstrzygnięciu indiańskich problemów na ich korzyść.

Wiadomość o Jej odejściu przyjąłam ze smutkiem, jak wszyscy, którzy Ją znali i kochali. Nie mogłam uczestniczyć w Jej ostatniej ziemskiej wędrówce. Dopiero wiosną odwiedziłam cichą mogiłę Jej wiecznego spoczynku. Wiem jednak, że Babcie tam nie ma. Jej dusza jest nadal z nami, pomaga nam przezycieć trudności, pomaga przetrwać jako polscy Indianie albo przyjaciele Indian, jak kto woli. Moje spotkania z Babcie nadal trwają, w niewidzialny duchowy sposób, którego słowami opisać się nie da. Dzięki temu nadal mogę iść swoją indiańską ścieżką, niezależnie od sytuacji życiowej.

Anna Chachurska-Zygmunt

21 marca 1993 roku

Do nabycia jest jeszcze "bajka" Babcie *Bramy Królestwa*. Cena 10.000,-

1993 - Rok Tubylców

czyli

spór o jedną literę

Historia rządzi się nieubłaganymi prawami. Świat szybko zapomina o ubiegłorocznych październikowych obchodach i kontr-obchodach "500-lecia". Wkrótce następny, po Rigobercie Manchu, laureat odbierze Pokojową Nagrodę Nobla. Niemal niepostrzeżenie mijają kolejne miesiące roku 1993 - roku nie mniej symbolicznego i ważnego dla Indian i ich przyjaciół, niż rok ubiegły. Roku, który Organizacja Narodów Zjednoczonych ogłosiła niedawno (w 1992 r.) Rokiem Ludności Tubylczej Świata, lub prościej - Rokiem Tubylców.

Decyzję tej szacownej organizacji o dedykowaniu specjalnego roku tubylczym ludom i narodom świata można by uznać za prestiżowe zwycięstwo wielomilionowej tubylczej społeczności. Oto społeczność ta, przez wieki ignorowana i dyskryminowana przez Cywilizację Zachodnią, wywalczyła sobie swoje "pięć minut" na arenie międzynarodowej. Oto wieloletnie zabiegi tubylczych przedstawicieli, działających w kilkunastu pozarządowych organizacjach (NGO), którym ONZ przyznała tzw. status konsultacyjny, zakończyły się sukcesem. Oto narody cywilizowane uznały istnienie milionów tubylczych mieszkańców wszystkich kontynentów, ich wielkie tradycje, wspólne problemy i narodowe aspiracje.

Ogłoszenie Roku Tubylców byłoby ich prawdziwym sukcesem, gdyby nie dwie sprawy. Po pierwsze, gdyby nie jedna literka, której zdaniem tubylców zabrakło w oficjalnej nazwie ONZ-owskiego Roku. Po angielsku jest to bowiem "the Year of World's Indigenous PEOPLE", czyli "Rok Tubylczych Ludzi (lub Tubylców) Świata". Tubylczy delegaci starali się, by był to rok "Tubylczych Narodów" (PEOPLES). Brak tej jednej literki nie jest, niestety, przypadkiem. Przeciw jej dopisaniu zaprotestowali przedstawiciele większości państw, w których żyje ludność tubylcza. Państwa te twierdzą, iż przestrzegają "praw człowieka", jednak systematycznie odmawiają uznania, lub przestrzegania w praktyce, zbiorowych praw tubylczych ludów i narodów. Zamiast tego nazywają je "plemionami", "grupami", lub udają, że nie dostrzegają ich wcale.

Przedstawiciele tych państw (w tym Kanady i USA) obawiali się, że dopisanie przez ONZ jednego "s" mogłoby oznaczać potwierdzenie prawa tych społeczności do autonomii i samookreślenia oraz wystawić na słowa krytyki rządy, które praw tubylczym społecznościom odmawiają. Brak tego "s" jest więc znaczącym ustępstwem ONZ wobec tych rządów, a jednocześnie stwarza mylnie wrażenie, iż tubylcy na całym świecie to wyłącznie jednostki bez narodowych aspiracji i problemów, lub - co równie błędne - jeden duży naród.

Po drugie, proklamowanie w ONZ Roku Tubylców byłoby autentycznym sukcesem dopiero wtedy, gdyby po tej deklaracji nastąpiły jakieś konkretne działania, poprawiające ich trudne warunki życia. Tymczasem inauguruje Rok przemówienia działaczy utrzymane były w większości w tonie samozadowolenia z samego faktu ogłoszenia Roku. Nielicznym delegatom tubylczym (w większości Indianom) dano bardzo niewiele czasu na wypowiedzi, przewidując jakby, że wykorzystają oni ten czas nie na gładkie słowa podziękowań, lecz na przedstawienie przed pełną salą i kamerami najważniejszych problemów swoich narodów i organizacji.

Jak dotąd, ONZ i jej państwa członkowskie uczyniły niewiele, by nadać obchodom Roku bardziej konkretny wymiar. Nie wydaje się, by większość zgłaszanych przez tubylców postulatów miała szansę na realizację. Przez dłuższy czas jedynym wkładem sponsorującej rezolucję ONZ o ogłoszeniu Roku Tubylców Kanady było zaproszenie Buffy St. Marie do występu podczas ceremonii otwarcia. W tym samym czasie Kanada obciążyła budżet departamentu do spraw Indian o 30 mln \$. Tymczasem takie państwa, jak Norwegia, Australia, czy Dania przeznaczyły ok. 250 000 \$ na związane z obchodami Roku wydatki ONZ. Nie jest to może wiele, ale ma swoją - symboliczną przynajmniej - wymowę.

W 15 lat po pierwszej, firmowanej przez Komisję Praw Człowieka ONZ, genezyńskiej konferencji na temat dyskryminacji tubylczej ludności Ameryki, w 10 lat po pierwszym posiedzeniu Grupy Roboczej do Spraw Ludności Tubylczej (WGIP) przy tej Komisji - proklamowanie 1993 roku Rokiem Tubylców można uznać jedynie za skromny początek przemian, które winny nastąpić na Ziemi Indian i innych kontynentach u progu nowego 500-lecia.

Marek Nowocien



MOJA WINA... I

Tam gdzie góry burzą
tam gdzie prerię pala
tam gdzie lasy niszczą
tam gdzie wodę skażą
wszystkie te krzywdy ziemi naszej
indiańskiej twarzy stanowią ranę.

Dzięki poznaniu i uprzejmości naszego dobrego przyjaciela, otrzymaliśmy pierwszy TAWACIN w naszym życiu, dzięki któremu to czasopismo mamy możliwość dowiedzenia się wszystkiego co dotyczy Indian Ameryki Pn. W świetle prawdy, a nie z pozycji "Kolumba"! Nie możemy być, czy ja czy kolega, Lakotą z krwi i kości, bo to logiczne, lecz możemy rozmawiać jak oni, czuć i postępować jak Indianin i właśnie cechuje nas taki duch wewnętrzny, czujemy, że nasze dusze są czysto indiańskie.

Od wielu lat interesowało nas: życie, historia, pochodzenie, itd. Indian. Przewertepowaliśmy wszelkie nam dostępne książki, ale te środki nie oddawały idealnej prawdy, są zbyt sfalszowane.

Stwierdziliśmy, że PSPI jest jedynym źródłem w naszym kraju, dzięki któremu możemy uzyskać wszelkie informacje w postaci pism, czasopism czy książek dotyczących życia Indian.

Dzięki kontaktom z takimi organizacjami jak PSPI człowiek ma możliwość osądu historii na tle prawdy i sprawiedliwości, możliwości zrozumienia plemion indiańskich, dzięki czemu po tak wielu latach dociera do nas prawda jak wygląda oblicze stosunków Indian i białych od 1492 do 1993.

Bo kto obiecywał i nic nie dawał, kto zrywał umowy, traktaty, kto sprytem i kłamstwem zdobywał ziemię Indian, kto przedstawiając podstępnie różne wydarzenia powodował mordowanie i niszczenie plemion indiańskich, kto wyznawał zasadę dobrego, lecz martwego Indianina - odpowiedź: BIAŁY, "dobry brat z za wody". Dzięki tej "pomocy" ludom indiańskim, jak to określali biali, doprowadzili swoim zakłamaniem do wyniszczenia wielkich cywilizacji i kultur.

Przejmujemy się wszelkimi wojnami, które były lub się toczą, czy to na Bliskim Wschodzie czy Jugosławii i oglądamy ze łzami w oczach zbrodnie hitlerowskie,

a kto osądzi morderców, którzy wymordowali ponad 4 500 000 Indian, kto zwróci tym ludziom dobre imię, czemu na świecie trwa cisza na ten temat.

Jest nas kilkoro w naszym mieście, którzy się solidaryzują ze stowarzyszeniem i pragniemy prawdy o prawych mieszkańcach Ameryki Północnej, Środkowej czy Południowej. Wszystko co nas cieszy wewnętrznie to to co żywe, a wszystko co natura stworzyła jest w nas, żyje w nas. Czujemy wewnętrznie, że jesteśmy związani z ziemią i jej darami.

Myślę, że dzięki kontaktom z PSPI wzbogacimy naszą wiedzę na wszystkie tematy dotyczące Indian i ich życia, a także, że umocnimy się duchowo, wierząc, iż wielu białych o indiańskich sercach, duszach i myślach, którzy czują wewnętrzną potrzebę przyjaźni i braterstwa z czerwonymi braćmi i w imię pokoju pragną zmienić ich losy na takie, jakie oni zasługują.

Miejmy nadzieję, że wielu Amerykanów i Europejczyków zrozumie błędy swych dziadów i podobnie jak my zapagną braterstwa ze swymi czerwonymi braćmi oddając im prawdę, cześć i szacunek.

Wojtek i Mariusz, Włocławek

MOJA WINA... 2

Szczerze mówiąc TAWACIN przeszedł moje najśmielsze oczekiwania. Jest to wspaniałe pismo.

Przerażające jest to ile Indianie wycierpieli i godny podziwu jest tym bardziej ich hart ducha. Po lekturze TAWACINU złożyłem sobie od razu postanowienie (ślubowanie). Otóż przyrzekłem sobie, że postaram się ze swojej strony jak najwięcej pomóc Indianom, w jakikolwiek sposób. Czuję się trochę po części winny temu co spotkało Indian. Może moi krewni i przodkowie emigrując do Ameryki w jakiś sposób przyczynili się do "zamachu" na wolność Indian. Poza tym wierzę w reinkarnację, więc może i ja, kiedyś, w jakiś sposób wystąpiłem przeciwko wolności Indian. Może fantazjuję, ale w moich oczach bardzo wyraźnie rysuje się hańba białego człowieka. Przez 501 (?) lat biali hańbili się wobec wielu narodowości (np. mieszkańców Afryki), ale



uważam, że najbardziej skrzywdzono i dotknięto Indian. Współcześni ludzie powinni w jakiś sposób naprawić swą hańbę. Żyjemy przecież niemal w XXI w., a los Indian niewiele się zmienił. Nadal muszą walczyć z białym człowiekiem, a nieraz i ze swymi braćmi. Cieszy mnie to, że jest już coraz więcej ludzi, którzy dostrzegają niedolę Indian i starają się im pomóc. Narazie wiem, że mogą choć zbierać podpisy pod listami i petycjami w obronie praw Indian. Choć jest to mało to jednak staram się to robić z przekonaniem i wyjaśniać zainteresowanym osobom sytuację Indian. Na pewno pomoże mi w tym lektura TAWACINU.

TAWACIN to świetne pismo, ale jedna rzecz mnie w nim uderzyła, choć ogólnie stała się tylko drobną ryską w ogólnym pozytywnym obrazie TAWACINU. Tą "ryską" jest "Indiańska kuchnia" - sam jestem wegetarianinem (zimną) i weganinem (latem) i niestety atrykuł ten mnie razi.

Indianie fascynowali mnie i fascynują od lat. Pierwszymi książkami jakie dopadłem (lubię czytać) w wieku 8 lat, były książki Karola Maya, Longina Jana Okonia, Yackta-Oya, Sat-okha, K.A.Szklarskich i M.A.Fiedlera. Przez wiele lat książki te były moją ulubioną lekturą (czytane kilkunastokrotnie). Choć nie wszystko podobało mi się w tych książkach, głównie postępowanie białego człowieka wobec Indian i opisy polowań (staram się coś zrobić w obronie praw zwierząt), to jednak wiele wyniosłem z tych książek. Wiem, że nie wszystko odzwierciedlało tam prawdę. Dużo rzeczy fascynuje mnie w życiu Indian, choćby ich stosunek do otaczającego ich świata, do przyrody, do zwierząt czy też fascynowała mnie wiedza i zjednoczenie z przyrodą (niektórych) szamanów indiańskich.

Wiem, że nie można się dowiedzieć wszystkiego z książek czy czasopism. Wiele rzeczy trzeba odkryć i pokochać samemu (np. biorąc w czymś udział). Dlatego chciałbym bardzo poznać ludzi należących do PSPI i poprosić ich, by podzielili się ze mną swą wiedzą na temat Indian; ich religii, obrzędów, życia codziennego, itp. Chętnie wybrałbym się na zlot PSPI, nie wiem jednak "czym mógłbym sobie zasłużyć, by zaproszono mnie na taki zlot".

Mam jeszcze jeden pewien problem. Od miesiąca zajęłem się przepisywaniem

tekstów (z rubryki "Potrzebują pomocy" w Zielonych Brygadach) w języku angielskim, głównie w sprawach pomocy dla Indian. Wysłałem dotychczas 11 listów z około 80 podpisami. Obecnie zbieram podpisy pod 6 listami odnośnie spraw Indian. Dowiedziałem się ostatnio, że zbierając podpisy powinienem przed wysłaniem listów odbić je na ksero i przesiać ksero do PSPI. Niestety nie wiem pod jaki adres.

Dotychczas napisałem 17 listów w sprawie pomocy dla Indian, m.in. w sprawie Leonarda Peltiera, Konfederacji Sześciu Narodów Irokeskich, św. góry Apaczów - Graham, ludu Lubicon w Kanadzie, plemienia Havasupał, itp. Niestety z braku informacji musiałem sam coś dodawać do wyjaśnień osobom, które chciały wiedzieć coś o danej sprawie więcej niż z tłumaczenia tekstu. Moje informacje w sprawach, o których pisałem są nadal niekompletne. Dlatego m.in. chcę zaprenumerować TAWACIN, może znajdę tam więcej informacji.

Positive oi-vert-revolte prowadziło przez pewien czas zbieranie podpisów pod petycjami w sprawie Mount Graham i Leonarda Peltiera. Uzbierali coś około 200 podpisów. Teraz zbieraniem podpisów zajęłem się ja oraz dwie koleżanki, które na to namówiłem. Zebraliśmy dotychczas sami około 250 podpisów na Graham i Peltiera. Może wiecie, gdzie można zdobyć inne druki petycyjne w innych sprawach (najlepiej z tekstem). Może można wypoczyć jakieś dodatkowe informacje, np. o Górze Graham. Chętnie pożyczę to i odbił na ksero.

Marcin, Kostrzyn Wlkp

Od redakcji:

Po opublikowaniu w poprzednim numerze TAWACINU artykułu Wiesława Kołeczka zatytułowanego "Czy Indianie mają w Polsce przyjaciół?" otrzymaliśmy kilka listów. Dziś drukujemy dwa, podobne nieco do siebie listy, które w pewnym sensie odpowiadają na pytanie zawarte w tytule artykułu, a jednocześnie odzwierciedlają dość szeroko rozpowszechnione w Polsce poczucie winy wobec rasy indiańskiej w ogóle.



LITERATURA

Dobro będzie ci dane. Zbiór tekstów indiańskich. Oprac. W. Retz. Wydawnictwo Grupy Działan Twórczych. Chodzież 1991. Cena 10.000,-

Zbiór poezji, opowiadań i tzw. materiałów duchowych o indiańskim widzeniu świata i miejsca człowieka w nim. Miniatury tomik (A7, s. 48) dedykowany "Tym, którzy się gubią..."

Michael Blake: **Tanczący z Wilkami.** Wyd. Aramis. Kraków 1991, cena 29.000

Tylko ziemia przetrwa... Mała antologia dawnej i współczesnej literatury Indian Ameryki Północnej. Wybór i oprac. Leszek Michalik. SOK Sztum 1992, cena 29.000,-

Brian Moore: **Czarna Suknia.** Graffiti. Kraków 1992, cena 31.000,-

Thomas Berger: **Mały Wielki Człowiek** Wyd. Wojciech Pogonowski. Warszawa 1991, cena 35.000,-

ANTROPOLOGIA

Ewa Novicka: **Świat człowieka, świat kultury.** PWN. Warszawa 1992, cena 64.000,-

REKODZIEŁO

Wiesław K. Niedźwiadek: **Indiańskie techniki zdobienia koralikami.** Tipi, Wielichowo 1992, cena 13.000,-

PODRÓŻE

Jan Gać: **W poszukiwaniu Majów.** Wyd. KLIO. Łódź 1992, cena 57.000,-

Fascynująca podróż do ziemi Majów, refleksyjna i pełna ciekawych epizodów, bogata ilustrowana (także kolorowo). Reporterskie opowieści Jana Gacia to zupełnie nowa jakość literatury podróżniczej.

Zamówienia kierować:

TIPI,
ul. Łąkowa 3,
64-050 Wielichowo

W cenę książki wliczone są koszty opłaty pocztowej. Prosimy o przedpłatę pod powyższym adresem lub na konto:

HISTORIA

Jan Szczepański: **Dopóki trawa rośnie, dopóki rzeki płyną. Daleje przemienienia Czejenów 1835-1880.** Warszawa 1990, cena 23.000,-

Największa monografia plemienia Czejenów dostępna w języku polskim. Obok relacji z wielkich wojen, książka zawiera sporo informacji o kulturze, religii i życiu społecznym tego jednego z najbardziej znanych ludów tubylczych Ameryki.

Izabella Rusinowa: **Indianie, traperzy i osadnicy w dalekich amerykańskiego Zachodu.** Warszawa 1990, cena 25.000,-

Popularyzatorska książka historyczna o kontaktach Indian z białymi kolonizatorami, przemysłowcami i politykami. Zdjęcia, mapy i wykresy.

Ameryka Indiańska. Spotkanie dwóch światów. Praca zbiorowa pod red. Janusza Jaskulskiego. Poznań 1992, cena 45.000,-

Katalog poznańskiej wystawy z okazji 500-lecia o takim samym tytule, zawierający ponadto okolicznościowe artykuły o tubylcach obu Ameryk. Pięknie wydany (papier kredowy) i ilustrowany (w tym zdjęcia kolorowe).

Bartolome de Las Casas: **Krótką relacją o wyniszczeniu Indian. "W drodze".** Poznań 1988, cena 17.000,-

Ewa Novicka i Izabela Rusinowa: **Indianie Stanów Zjednoczonych.** Antologia tekstów źródłowych. PWN. Warszawa 1991, cena 60.000,-

W DRODZE nr 11/231/rok 1992, miesięcznik oo. dominikanów poświęcony rocznicy 500-lecia ewangelizacji Ameryki, cena 15.000,-

TIPI, Marek Maciołek, ul. Łąkowa 3
64-050 Wielichowo

GBW-BS w Wielichowie
Rk nr 963549-56531-136

UWAGA: wysyłka książek "za zaliczeniem pocztowym" kosztuje dodatkowo ok. 10.000 zł. opłaty pocztowej.

WARUNKI PRENUMERATY

TAWACIN ukazuje się cztery razy w roku. Cena detaliczna jednego numeru wynosi 15.000 zł, w prenumeracie - 12.000 zł (z opłatą pocztową). Prenumerata na rok wynosi 48.000 zł.

Oferujemy możliwość obniżenia ceny prenumeraty przez wysyłkę pod wspólny adres co najmniej 2 egzemplarzy TAWACINU. Udzielone bonifikaty powodują wówczas obniżenie ceny do:

ilość egz.	ceną 1 egz.	cena prenumeraty 1 egz. w 1993
1	12.000 zł	48.000 zł
2	11.500 zł	46.000 zł
3-4	11.000 zł	44.000 zł
5-9	10.500 zł	42.000 zł
od 10	10.000 zł	40.000 zł

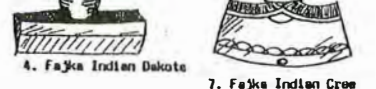
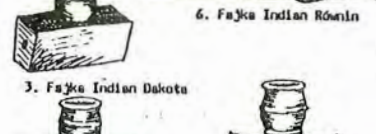
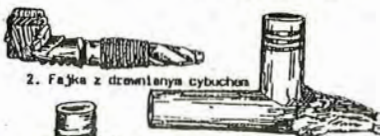
Wpłaty należy kierować na konto:

MAREK MACIOŁEK. TIPI UL. ŁĄKOWA 3
64-050 WIELICHOWO

GBW-BS W WIELICHOWIE
RK NR 963549-56531-136

Prosimy dokładnie i czytelnie podawać adres na przekazie oraz czego dotyczy wpłata. Przy zmianie adresu prosimy o informację.

NIE PRZESYŁAĆ PIENIĘDZY W LISTACH !



GLINIANE FAJKI według oryginalnych wzorów indiańskich Kolor czerwono-brązowy.

Fajki nr 1,3,4,5 i 7...Cena 250 tys. zł średnia wielkość 13cm X 8cm

Fajki nr 2 i 6.....Cena 280 tys. zł średnia wielkość 13cm X 8cm

Fajka nr 5.....Cena 170 tys. zł średnia wielkość 7cm X 5cm

Wiesław Karnabiel
ul. Szkolna 9, 62-069 Pałędzie

Opłata przy odbiorze.
Pokrywam wszelkie opłaty pocztowe.

Paris Wyspie, już są. Proszę
Katarzynie mamana i "padać"
5 kaw.

